

Rysunki  
Antoniego  
Chodorowskiego

str. 16

LUBLIN  
**WIELKA BRYTANIA**  
**DZISIAJ:**

str. 10

**Reportaż**  
**Wiesława Horabika**

**HOROSKOPY**

do 4 kwietnia

str. 13

czas. 25 52 / 1976/6

ROK ZAŁOŻENIA 1933

# W A M M E N A

LUBLIN 21 III 1976 Nr 6 (596)

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

CENA 3 ZŁ

## PATRIOTYZM DNIA DZISIEJSZEGO

Jaki jest stan świadomości państwowej Polaków? Jakie okoliczności sprzyjają a jakie przeszkadzają myśleniu jednostki w kategoriach państwa? Czym jest patriotyzm dnia dzisiejszego? Oto niektóre pytania, które określiły przebieg i treść redakcyjnej dyskusji.

W spotkaniu uczestniczyli specjaliści różnych dziedzin — naukowcy i praktycy, działacze polityczni i społeczni, którzy rozpatrując tę ważną i wyjątkowo aktualną problematykę w perspektywie profesjonalnych doświadczeń i zainteresowań, formułowali całkiem osobiste refleksje, podyktowane życiem tu i teraz. W dyskusji wzięli udział: mgr Włodzimierz Koprucki kierujący Wydziałem Kontroli i Instruktażu Urzędu Wojewódzkiego w Lublinie, doc. dr Zygmunt Mańkowski z UMCS, prof. dr hab. Tadeusz Mencil z UMCS, mgr Andrzej Szpringer kierujący Wydziałem Pracy Ideowo-Wychowawczej KW PZPR w Lublinie, doc. dr hab. Zbigniew Szloch — prodziekan Wydziału Ekonomicznego UMCS, dr Roman Tokarczyk z UMCS. Redakcję reprezentował Ireneusz J. Kamiński.

I. J. Kamiński: — Kultura państwa Polaków — problem rozległy, skomplikowany, chyba i trudny, dopuszczający różnorodne interpretacje, co zapewne ujawni nasza dyskusja. Mimo tego zgodzimy się zapewne wszyscy, że kultura tego rodzaju, a mówiąc inaczej — świadomość państwowa naszego społeczeństwa nie przedstawia się zbyt okazale...

Z. Mańkowski: — W publicystyce politycznej pojawiło się ostatnio interesujące stwierdzenie, które wiąże się bezpośrednio z tematyką naszego spotkania. Chodzi o sformułowanie, że naród polski posiada bardzo rozwiniętą świadomość narodową przy niedostatecznym poziomie świadomości państwowej. Dawno nie zetknąłem się z tak trafną obserwacją... Źródła takiego stanu rzeczy tkwią głęboko w historii Polski. Jest to prawda na ogół znana, niemniej warto przypomnieć, że w naszych

dziejach były długie okresy uniemożliwiające identyfikację tych dwu rodzajów świadomości zbiorowej. Mam na uwadze czasy porzobiorowe, ale także lata międzywojenne, rozdarła walką klasową. W opracowaniach dotyczących ruchu ludowego po roku 1918 stwierdza się jednoznacznie, że chłop nie bez przyczyny nazywał II Rzeczpospolitą macochą, nie matką. Oczywiście, dwudziestolecie zrodziło pewne wartości sprzyjające rozwojowi świadomości państwowej, lecz do końca ich nie wykształciło. Krótko mówiąc: jesteśmy nadal bardzo patriotyczni, ale nie zawsze idzie z tym w parze myślenie w kategoriach państwa.

I. J. Kamiński: — Czym jest państwo dla narodu? Systemem chroniącym jego tożsamość? Gwarancją pełnego i specyficznego rozwoju?

Dokończenie na str. 5-7

## Czytam Sandauera

Zygmunt Mikulski

**R**OZPOCZYNAJĄC swój szkic o Herbercie („Kultura” nr 7), Artur Sandauer dał kolejny wyraz znaczeniu, jakie przypisuje prądom literackim, oraz wyraził ubolewanie, że ich obecnie nie ma. Już w roku 1956 krytyk ten wypowiedział opinię, że czasopisma powinny zostać oddane do dyspozycji grup literackich. Było to dość osobliwe. Przełożone na język realiów oznaczało: wprawdzie grupy nie istnieją, ale je stwórzmy, bo inaczej nie będzie komu redagować tygodników. To warto przypomnieć, ponieważ stanowi wymowny element anamnezy pewnych obsesji towarzyszących działalności tego krytyka. Prokrusta, który nie znieśie, by omawiane zjawisko nie pasowało do prezentowanej tezy, skoro teza jest oryginalna i posiada intelektualną urodę.

Sandauer mówi, że współczesna literatura (ma na myśli trzydziestolecie) cierpi na brak prądów. Dawniej była Młoda Polska, później Skamander, później awangarda. Wynika stąd, że i teraz coś być powinno. Ale co znaczy — była, był, była? Czy to, że dobrało się kilkunastu panów i ze szlachetnym wezwaniem „dość marazmu” zapełniło swymi utworami pustkę okresu, dając tym zatrudnienie późniejszym krytykom i historykom literatury? Sam prąd jest rezultatem nurtujących daną epokę idei, wykładnikiem napięć światopoglądowych, świadectwem nastrojów i gustów. Jeśli czymś innym, to tylko kabeletem: sezonową zabawą utalentowanych młodych ludzi, miłą dla współczesnych i sposobną do anegdoty, ale nie kontaktującą z artystycznymi problemami epoki. Myślenie prądami do niczego nie prowadzi. Brzozowski nie cierpiał Feldmana, a jednak ten drugi w krytyce literackiej nie został bez znaczenia; znane jest powiedzenie Wyspiańskiego o Asnyku, a jednak autor sonetów „Nad głębią” ma swoje miejsce na kartach historii literatury; pisarstwo Berenta i Zeromskiego to antypody, to samo Przybyszewskiego i Sienkiewicza. Gdzież więc wizerunek Młodej Polski jako jednolitego prądu jako orientacji o zgodnych kierunkowych napięciach? To samo można powiedzieć o Skamandrze, który jako grupa powstał raczej na zasadzie aranżacji towarzyskiej niezależnie od tego, że rodzaje poetyki poszczególnych Skamandrytów niewiele się między sobą różniły (choć Bógiem a prawdą między np. witalizmem Tuwima a klasycyzmem Lechonia nadmiernego podobieństwa nie ma). A awangarda? Sam jej papież, Tadeusz Peiper, po okresie „Zwrotnicy” popełnił schizmę odmawiając udziału w „Linii”, w grupie „a.r.”, nie podejmując dyskusji o awangardzie w „Tygodniku Artystów” i „Gazecie Artystów”. A co łączyło Przybysia z Kurkiem? Mania klasyfikowania tworzy kategorie pozorne, gdyż prądy — co wreszcie czas otwarcie powiedzieć — były zjawiskiem towarzyszącym i wypadkowym, nie zaś

Dokończenie na str. 13

Marzec '76

21

\* Niedziela



# SZKOŁA KAJ-a

Jak już donosiliśmy, 23 lutego br. Zespół Szkół Zawodowych nr 4 w Chełmie nazwany został imieniem Kazimierza Andrzeja Jaworskiego, pedagoga, poety, założyciela „Kamenu”.



Młodzież szkolna składa przyrzeczenie otaczać honorem sztandar i patrona szkoły — K. A. Jaworskiego oraz służyć sercem i czynem Polsce Socjalistycznej.



Prezydium Wroczyści nadania szkole imienia. Od lewej siedzą: mgr inż. Daniel Han — prezydent Chełma, mgr Irena Kaczmarek — sekretarz KW PZPR, Tekla Jaworska — żona KAJ-a, mgr Longin Jan Okoń — dyrektor szkoły, Marek Adam Jaworski — syn KAJ-a i redaktor naczelny „Kamenu”. Władysław Kruk — I sekretarz KM PZPR, mgr Tadeusz Sobolewski — vicewojewoda chełmski.

**P**ISZĘ te słowa w sobotę, 13 marca. Właśnie wczoraj Bundesrat jedynomyślnie ratyfikował umowę rentalną, co jest jednoznaczne z wejściem w życie wszystkich porozumień zawartych między Polską a Republiką Federalną Niemiec. Z a głosowali zarówno przedstawiciele krajów rządzonych przez partie koalicyjne — SPD/FDP, jak i rządzonych przez chrześcijańską demokrację — CDU/CSU.

CDU i CSU do ostatniej chwili prowadziły swą wielką batalię przeciwko polityce partii rządzących, mając już na uwadze jesienne wybory do Bundestagu. Padały głosy, że rząd ugiął się przed Polakami, że poszedł na zbyt daleko idące ustępstwa. Ale w tonie opozycji byli, wprawdzie nieliczni, i tacy politycy, którzy w czasie posiedzenia w Bundestagu 19 lutego zdecydowali się głosować za porozumieniami z Polską.

W Bundestagu, gdzie większość mają partie rządzące, nie było kłopotu z ratyfikacją. Inna jednak sytuacja panuje w Bundesracie, gdzie chrześcijańscy demokraci utrzymują nad SPD/FDP przewagę w stosunku 26:15. Jeszcze niedawno przewaga ta była mniejsza, ale w ubiegłym miesiącu niespodziewanie CDU doszła do władzy w Dolnej Saksonii, chociaż nie posiada tam większości w parlamencie krajowym. Podobnej większości nie ma CDU w Saarze, aczkolwiek i tam sprawuje władzę. Powszechnie mówiło się, że Saara poprze jednak porozumienie, nie na wiele to by się jednak zdało, jeśli Dolna Saksonia głosowałaby przeciwko. Szef rządu Dolnej Saksonii, Albrecht, urosł w tej sytuacji do postaci pierwszoplanowej — jego zdanie ukazało się na tytułowej stronie tygodnika „Spiegel” i pismo to poświęciło mu obszerny artykuł.

„Manager o stylu romantycznym” — tak scharakteryzował „Spiegel” tego polityka CDU, który ostatecznie — po sześciogodzinnym posiedzeniu swego gabinetu — zdecydował się poprze porozumienie. Ratując jedność chadecji — podkreślamy ponownie że jest właśnie rok wyborów parlamentarnych — kandydat CDU/CSU na kanclerza, Helmut Kohl, dokonał nagłej wolty i zmienił swe negatywne stanowisko wobec układów. Również i kraje rządzone przez CDU/CSU powiedziały w decydującym momencie „tak”.

Chciałbym — dla lepszego zobrazowania sytuacji — zapoznać czytelników „Kamenu” z fragmentami niektórych wypowiedzi polityków partii rządzących. Walka o ratyfikację układów była bardzo zażarta. SPD i FDP nie szczędziły starań, aby sprawę doprowadzić do końca.

Cytuję według stenogramu z posiedzenia Bundestagu:

## MYSLEĆ O PRZYSZŁOŚCI

BRUNO FRIEDRICH, deputowany z ramienia SPD: [...] Przy okazji głosowania nad tymi umowami będzie się również głosować nad tym, jak w przyszłości będą się do siebie odnosić Republika Federalna Niemiec i Polska Rzeczpospolita Ludowa. Czy tradycyjne przysłowie: „Jak świat światem nie będzie Niemiec Polakowi bratem”, ma zostać ogłoszone jako prawo natury obowiązujące po wsze czasy? Nie wolno, aby tak się stało.

(Friedrich zapomina, że stosunki, braterskie stosunki, między Polską a NRD już dawno udowodniły światu, iż to, jak mówi, „tradycyjne przysłowie” przestało być aktualne — przyp. MAJ).

Było nieszczęściem, że w polityce obu państw, a także w sposobie myślenia narodów zbyt długo dominowały siły, które aż nazbyt chętnie ulegały przekonaniu, iż między Polakami a Niemcami istnieje śmiertelna, nie do pokonania nienawiść. Z jedną tylko, ale chyba ważną różnicą, że od rozbiorów Polski (...) że począwszy od 1772 r. aż do upadku Warszawy w 1944 r. Niemcy były stroną potężniejszą. Inicjatywa rozbiorów Polski wyszła od niemieckiego księcia Fryderyka II; w 1943 r. Himmler dał rozkaz zniszczenia warszawskiego getta, a w rok później Hitler nakazał całkowite zniszczenie Warszawy. Narodowosocjalistyczne Niemcy pozostawiły po sobie w Polsce jako trwałe pomniki obóz zagłady w Oświęcimiu i inne obozy koncentracyjne. Byłoby to dla naszego narodu niebezpieczne samooszukiwanie się, żeby twierdzić, iż dla wszystkich zainteresowanych powinno to być jedynie historią.

[...] Jeśli istnieje historyczna szansa rozpocząć wszechstronne na nowo między narodami polskim, a niemieckim, to dlatego, że Niemcy nie są już dziś mocarstwem hegemonialnym, a Polska nie jest już „ziś państwem buforowym” [...] dlatego, że po II wojnie światowej Republika Federalna Niemiec i Polska tkwią w nowej konstelacji w Europie. W polityce odprężenia Polska jest położonym w Europie środkowej państwem wschodnim, podobnie jak Republika Federalna jest położonym w Europie środkowej państwem zachodnim, stanowiącym pomocniczo ku Wschodowi.

HANS DIETRICH GENSCHER, FDP, minister spraw zagranicznych:

Wszyscy wiemy, jak obciążona hipoteką pozostawia historia, jak głębokie są okopy i jak poważne są rany. Republika Federalna wie również, ja-

kie zadrażnienia występują po tej i po tamtej stronie, jeśli mówi się o pojednaniu niemiecko-polskim. W Polsce przypomina się wszystko, co popełniono w imieniu Niemców. Ten, kto był w Polsce, wie jak wszystko to jest tam wciąż jeszcze aktualne — tak aktualne, że nawet gość nie może się od tego uwolnić. Mimo to naród polski pragnie również w stosunkach z nami kierować wzrok w przyszłość, pragnie również z nami przyszłość kształtować.

[...] Odrzucenie porozumień byłoby poważnym ciosem dla stosunków niemiecko-polskich (uściślij: między RFN w Polską — przyp. MAJ). To fiasko mogłoby zagrozić prestiżowi naszego kraju na arenie międzynarodowej. Zważając na nasze chęci pojednania z Polską. Nie ludźmy się: to zwątpienie powstałoby nie tylko w Polsce, ale także u wielu naszych przyjaciół i sojuszników. Oni również oczekują od nas, że uczynimy to, co do nas należy, jeśli chodzi o pojednanie z Polską. Być może na zewnątrz ostrzej widzi się tło historyczne niż u nas.

HELMUT SCHMIDT, SPD, kanclerz: [...] Nie chcemy niczego przemilczeć, musimy mieć pełny obraz historii. Ale musimy uczyć się na historii. [...] Kto chce dziś drążyć z Polską do porozumienia, do normalizacji, ten musi rozumieć, z kim ma tam do czynienia (...), z narodem, który był wprawdzie pobity, i to wiele razy, ale teraz tym bardziej jest dumny z tego, że przeżył stawiając opór, że otworzył przed sobą drogę w przyszłość — z narodem, który ma szczególny stosunek do swojej historii i również bardzo szczególny stosunek do narodu niemieckiego, nie tylko na skutek konstrukcji prawnych, ale o wyniku wieloletnich doświadczeń. [...] Dalsza normalizacja stosunków z Polską wymaga przede wszystkim zdolności wzajemnego wyciszenia się w sytuacji i taktu, jak najmniej taktyki, a na pewno szczerości. Ale potrzeba jeszcze czegoś więcej. W polskiej opinii publicznej będzie się dziś traktować serio tylko tego, kto przetrwał swoje obciążenie, a porozumieniu w czyn, kto je realizuje.

WILLY BRANDT, przewodniczący SPD:

W więzieniu gestapo poeta polski, Tadeusz Borowski, w 1943 r. wnieśli na końcu swego wiersza gorzkie słowa: „Zostanie po nas słom żelazny i głuchy drwiący śmiech pokoleń”. Był to rok przed powstaniem warszawskim, na dwa lata przed końcem drugiej wojny

światowej, która rozpoczęła się od niemieckiej agresji na Polskę. Oszczędź sobie przytaczania statystyki grozy, sporządzonej wtedy, kiedy nasz sąsiad, naród polski, miał już za sobą okupację i wojnę. Wszyscy znamy tę statystykę i za każdą cyfrą stoja ludzie pokalnieni udrczeni torturowani, zamordowani. Tadeusza Borowskiego cytowałem dlatego, że ci, którzy przeżyli, mieli już tylko zaledwie nadzieję. Na szczęście bieg historii był inny. Po grozie wojny, po odretwieniu milionów ludzi znowu zakielkowała nadzieja, z gruzów znowu wyrastały mieszkania, spustoszona wieś była zagospodarowywana na Zachodzie i Wschodzie, w Polsce i w Niemczech. A jednak przeszłość nadal wydawała się wznosić jak głaz między narodem niemieckim i polskim. Mucieliliśmy to zrozumieć [...].

[...] Układ warszawski (chodzi o układ z 7 grudnia 1970 r. o podstawach normalizacji stosunków między Polską a RFN — przyp. MAJ) był narzędziem w służbie pojednania i za pomocą tego narzędzia należało wziąć się do niełatwych zadań należało w sposób konkretny poprzeć współpracę. Wówczas byliśmy świadomi tego, że ten układ nie może w jednym zamachem rozwiązać wszystkich problemów dotyczących przeszłości. Tak łatwo nie można wymazać skutków ponurej historii. Wiedzieliśmy, że odpowiedzialne osoby w Polsce uważają zawarcie układu za przesłankę wysiłków, zmierzających do uzgodnienia uregulowania problemów otwartych. Było jasne, że nie będzie proste prowadzenie do wspólnego mianownika odmiennych interesów. Było też jasne, że bez tego kapitału zaufania, który znaleźliśmy w układzie warszawskim, nie można pójść naprzód. [...] Porozumienie w Helsinkach było możliwe dlatego, że obie strony okazały gotowość do kompromisu i potrafiły trzeźwo ocenić to, co dziś jest do osiągnięcia. Ta szansa nie powinna być zmarnowana.

[...] Zacytowałem Tadeusza Borowskiego. W zakończeniu wspominał go jeszcze raz, tym razem jako ostrzeżenie. Jeżeli partie demokratyczne tego kraju dopuszczą do tego, że istniejąca w naszym narodzie gotowość do pojednania z narodem polskim zostanie naruszona na skutek resentymontów, jeżeli — a mam nadzieję, że tak się nie stanie — te porozumienia zakończą się fiaskiem, wówczas pozostanie nam w rzeczywistości tylko „głuchy, drwiący śmiech pokoleń”.

Porozumienia nie zakończyły się fiaskiem. Został podniesiony szlaban na drodze do pełnej normalizacji stosunków między Polską a Republiką Federalną Niemiec. Oba kraje mogą wiele zdziałać nie tylko jeśli chodzi o pogłębienie wzajemnych stosunków. Pokojowa współpraca między Polską a RFN służy całej Europie, służy odprężeniu międzynarodowemu. Musimy wspólnie myśleć o przyszłość.

MAJ



## CO W SERCE UDERZA

I

Świątom spojrzeć w tę okrągłą złotą japę  
wybrzuszoną na kłęczniku w jadra mlask,  
co za przebolale instalacje,  
trzymianowe trójwyznania zwarte.  
Świątujące brody wrosły w stoły,  
gną się pod ciężarem win  
instalacje łokciami przetarte,  
Heretycy pióra skubią archaniołom,  
aby pisać nimi poematy;  
wątku nie ma; krew powieści płynie  
w tej postaci, która już się kończy,  
choć młodzież jej nie przeminęła.

II

Przyjemnego wypoczynku,  
w śnieżnych halach co innego;  
tam z wakacji przemysłowych kolce wiatru  
proszą płatki w wonne lipce Ostrowca,  
w purpurowo wiślany Sandomierz  
i w lessowy wąwóz Opatowca.  
Tam robotnik się otrząsa z zimnych iskier,  
jak ze zjazdu narciarz na wirażu,  
kiedy utknie w zaspach pięciolatki  
i rozpruje wór nadętej zimy,  
jakby bóg wypędzał Ewę z raju,  
aby radość siała na ziemi.

III

Siwka przyprząc do sań  
i do dyszla; nie do ogiera,  
ogier może ustać, lub paść;  
przyprzężony koń zawsze się przyda;  
sam wyciągnie z zasp sanie,  
zapłacimy tylko za sapanie.

IV

Rzęsy przymknął gorące ptak,  
pól makowych w jego oczach zamieć;  
podział racji dramatycznych już nastąpił;  
chodzi teraz o spełnienie?  
Wprost przeciwnie; o zawieszenie  
dramatycznych racji w niepamięć.  
I dramatu?  
W niewykonanie.

V

Tylko chrystusik folklorowy wysiadujący po  
kapliczkach  
tych zagranicznych i krajowych  
rany się swojej nie dodrapał,  
w poezji siedzi cepeliowej

i płacze — ile kot napłakał.  
Na malowane lukrem lale,  
kto spojrzy choćby w lez ich krople.  
w czerwony lakier na krwi zmarłej  
na zeszkrobane z palców sopte.

VI

Najpierw czarnoziem snu głęboki;  
na to dopiero azot z nieba  
i fosfor z rozmielonych ości,  
to, co ma w sobie z próchną gleba,  
czerwony pancerz grzmiący w raku,  
z boga Amona amoniaku,  
do tego dodać głos ze smyczka  
pewnej sonaty Szopena.

VII

Tu w płockiej chemii nie ma świąt,  
Pan Bóg urlopu też nie bierze,  
bo świat — by na niedzielę stanął;  
duch święty nie śpi — i duch zły  
jedno sprzężenie w burzy śnieżnej.  
Pod Jasłem tak zadęło drogę,  
jakby sam diabeł na trzy zmiany  
śniegiem wymościł chciał nam żłobek;  
ze śniegu sypnął trzy kurhany.

VIII

A stolik śpiewa swoje pieśni,  
apetyt bije w brzuch tęczy,  
pieczeń od widel do widelca  
paruje z obór do alkowy.  
Pakowny zadek pewnej pani  
pochłania cały przyrost soków  
dopięty szczęką i podwiązką  
wypelnia sienie pięcioletnie,  
cały skupiony w jeden punkt;  
jak Herod w zimnych murach tęchnie.  
Pani zarządza zmiany warty  
i zmiany godzin lotu w niebie,  
aby się w klatce nie spłoszyły  
na ganku jej kanarki.

IX

Z Trybuny Ludu blond dziewczyna  
oświadcza się w stublasku lampy,  
że pierwszy włos swój siwiejący  
da spracowanej niebios partii.  
Sto więcej lamp elektronowych  
roztartych w sitach kłesk i surm  
z krzaka czerwonej róży zerwie;  
z róży czerwonej Luksemburg.  
Marzeny Andryszewskiej oblok

wpięty jak welon w zjazdu szczyt  
jak neon klamrą w szczyt miesiąca  
z gniazda elektronowych lamp  
perły do kwadry nam wybiera.  
I jakby w morzu szumiał szampa  
z posmakiem brzasku w maku lic,  
po niklowanych rękawicach  
jakby z daleka, poza sercem  
miłość na palcach kto przemycał,  
aż wolna, w serca wszystkich wstąpi.

X

Opala się na niebie trzeźwa,  
elektronowo nieśmiertelna  
madonna elektrycznie blond;  
wie, na co komu jest poezja!  
Słońce uderza w nią jak mięta  
i nagość biała, przeźroczysta  
jak czarny chleb już wyrośnięta  
zapala urodzaju oblok.  
Tu białe z czarnym nie zbrukane  
kolory okwiecone wzywa,  
kobra pożarła swe ostrzygi,  
skończyła hipnotyczny taniec.  
Przestały wreszcie syczeć złotem  
rozlewające w oczach olów  
złotne węże idealów  
z żądlami przyschniętymi w błocie.

XI

Gdzie świat ociera się o wolność;  
o ogień nie do ugaszenia,  
w teatrze grawitacji cieni  
i czynów nie do zastąpienia.  
Gdzie świat ociera się o lup  
i o niewolę — i o lunę  
i o zaranny stukot stóp —  
tam jeszcze w przepaść on nie runie.  
Gdzie się ociera już o popiół  
na ustach nie do ugaszenia,  
tam wiary nikt nie traci w świętość  
zdradzoną — i do ocalenia.

XII

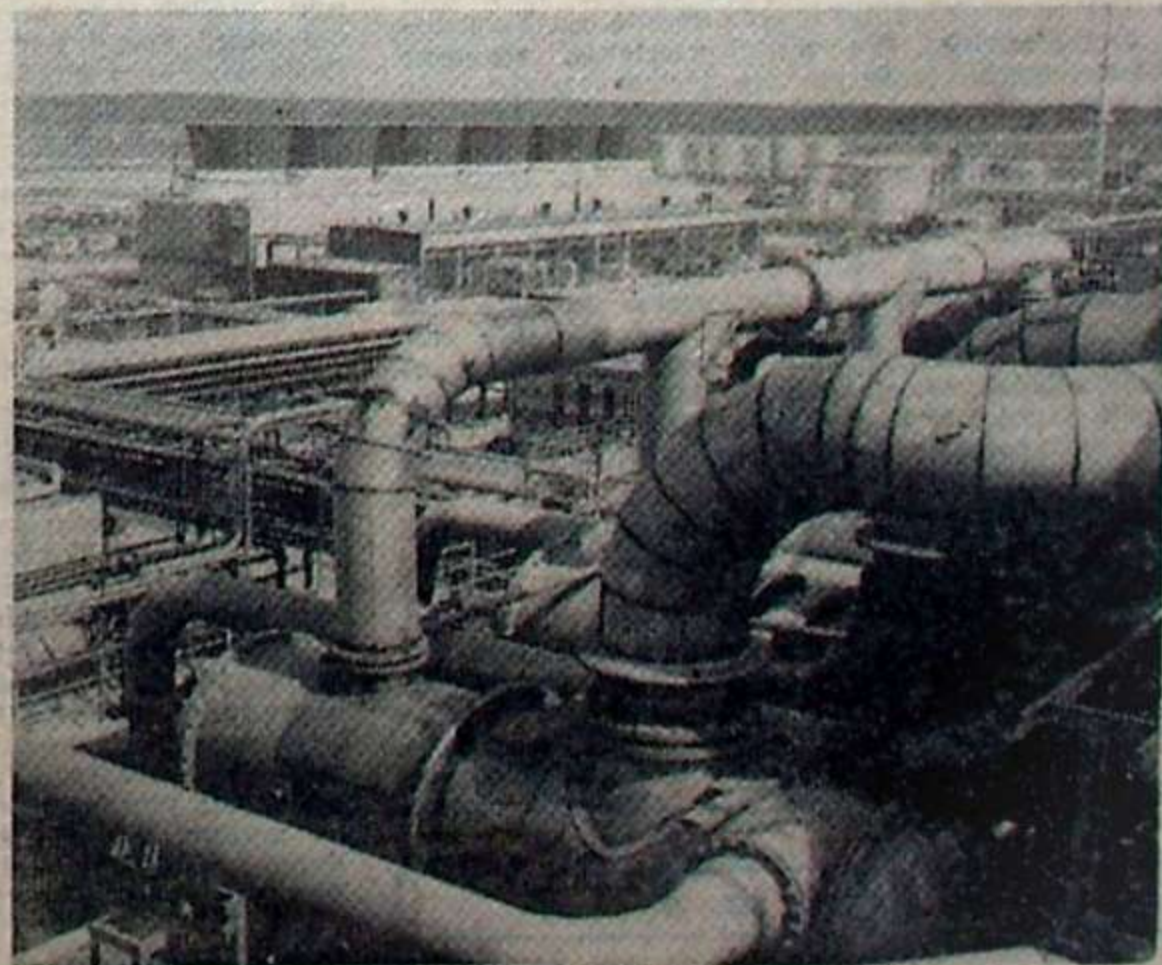
Bo cóż to jest ta nieśmiertelność?  
To nieskończoność zwykła świata  
usłużna i milcząca siostra  
dnia poprzedniego, twa sąsiadka;  
horyzont, co nie wchodzi nigdzie,  
co noc w twe serce się zakrada,  
i wyskakuje z twojej skóry  
bez przemyślenia i wyzwania,  
tak po mistrzowsku i tak pewnie  
jakbyś w ogrodzie go posadził  
gwałtem, ku przeznaczeniu prawa.

XIII

Kształt partii?  
Scena z grudą ziemi;  
w ręku, z wyboru i przymierza  
przyległych ku jej drodze źródeł,  
ciężar owocu, zieleń drzewa.



Fot. Archiwum



Fot. Z. Jaskiewicz



**N**A ROK bieżący przypadają rocznice urodzin dwóch wybitnych twórców naszej kultury. Rocznicę tyleż nobliwą, co dorobek jubilatów: 31 marca Tadeusz Kotarbiński, a 3 kwietnia Władysław Tatarkiewicz kończą 90 lat życia. Te dwa nazwiska znane są każdemu interesującemu się nie tylko zagadnieniami prakseologii, czy estetyki. Zapisali się one w dorobku kultury polskiej w ogóle niezależnie od fakultetowej specjalizacji, niezależnie od środowiskowych popularności. Szczyci się nimi cała polska nauka.

Porównywano kiedyś te dwa typy filozofowania, dwa rodzaje postawy badawczej. Z nazwiskiem Kotarbińskiego łączono pasję analitycznej dociekliwości w jednym kierunku z tym usilniejszym zamiarem dojścia do możliwie najdalej wysuniętych wniosków, Tatarkiewicza natomiast przeciwstawiano jako historię obejmującego swym zainteresowaniem cały obszar filozofii z jej szeroką panoramą epok, systemów i kierunków. Niewątpliwie każda wybitna indywidualność w świecie

nych po czasopiśmie. Czytelnicy tygodników wciąż spotykają się z tym nazwiskiem na dowód niezwykłej żywotności umysłowej autora, który potrafił sekundować aktualnościom nie tracąc niczego z szerokiej perspektywy swojego filozoficznego poglądu i wieloletniego umysłowego doświadczenia.

Reizm, pansomatyzm, konkretyzm — tymi terminami określa się stanowisko Tadeusza Kotarbińskiego. Mówi ono, że naprawdę istnieją tylko rzeczy, że tylko świat materialny może być przedmiotem ludzkiego badania, że myśl ma być wyrażona w sposób ścisły, odpowiadający niezmiennym prawom fizycznej rzeczywistości. I tę ścisłość myślenia, ścisłość mówienia Profesor postawił na miejscu najwyższego prawidła swojego filozoficznego myślenia.

Co do Władysława Tatarkiewicza, tak samo rok 1905 był datą jego perturbacji w studiach. Za udział w strajku szkolnym został relegowany z uniwersytetu w Warszawie bez prawa studiowania gdziekolwiek na terenie cesarstwa rosyjskiego. Pozostała jedynie zagranica: zrazu Zurych, następnie Paryż, Berlin, Marburg. Tam młody student odbył studia w dziedzinie przede wszystkim filozofii, ale również psychologii, biologii, historii, a nawet antropologii. Po powrocie do kraju w roku 1910 nie mógł osiąść w Warszawie, gdyż tam nie znalazłby pola dla działalności naukowej. Wprawdzie zasłużony wówczas dla kultury Władysław Weryko założył Warszawskie Towarzystwo Psychologiczne (na nazwę „Filozoficzne” nie zgodziły się władze), ale kontakt filozofii polskiej z zagranicą był dalej utrudniony. Dlatego Tatarkiewicz (wprawdzie na krótko) — osiadł we Lwowie, gdzie pod przewodnictwem wspomnianego już Kazimierza Twardowskiego wzrastała młoda, obiecująca kadra naukowa, składająca się ze znanych później w całej Polsce: Jana Łukasiewicza, Władysława Witwickiego, Kazimierza Ajdukiewicza, Tadeusza Kotarbińskiego i innych.

W roku 1915 Tatarkiewicz został profesorem Uniwersytetu Warszawskiego. Był jeszcze w życiu Profesora uniwersytet wileński i poznański. A jak doszło do fundamentalnego dzieła pt. „Historia filozofii”? Sam autor twierdzi, że przez przypadek. Ossolineum zamówiło u niego taki podręcznik na użytek studentów. Propozycja została przyjęta. Wyobrażałem sobie, że będę to pisał pół roku. Dwa pierwsze tomy mogłem jednak złożyć dopiero po pięciu latach. Ukazały się w roku 1931. Tom trzeci został wydany już po wojnie przez Spółdzielnię Wydawniczą „Czytelnik”. Władysław Tatarkiewicz, gorący zwolennik jazdy konnej, tak mówi o powstaniu dzieła: *Krótko powiem, „Historię filozofii” obmyśliłem na koniu. Przy Grzegorzcu Nyseńskim miałem nawet przygodę. Tak się zamyśliłem, że wypuściłem frędzlę z ręki, koń się potknął i zlamano obojczyk.*

Za sprawą tytułu sądziłby ktoś jednak, że „Historia filozofii”, korona dzieł Profesora Władysława Tatarkiewicza, jedna z najznamienitszych tego rodzaju pozycji w literaturze światowej, to co najwyższe wierny zbiór opinii istniejących w dziejach filozoficznej myśli na przestrzeni wieków. Owszem, warunek dokładności jest tam zachowany ściśle, jakże jednak zdumiewająco uzupełniony dociekliwością, przenikliwością, wyczerpaniem ducha a nie tylko rozumieniem litery przedstawionych poglądów. Chyba każdy z myślicieli ujętych w dzieło mógłby stwierdzić, że w osobie Profesora znalazł swego niezwykle trafnego komentatora. I właśnie owa umiejętność przyznania *sum cuique* — każdemu tego, co mu przynależy — jest darem tak fortunnie zaprezentowanym przez polskiego polihistora. Co wcale nie oznacza, że Profesor nie przedstawia poglądów własnych. Wyrazić myśli swoją nie negując innej — to chyba najistotniejszy, nowatorski rys tego podejścia do materiału dzieł, jakie widzimy na przykładzie „Historii filozofii”.

Przy takim ogromie pracy, jaki pochłonęła filozofia, dziwić się wypada, że został jeszcze czas na inne dziedziny. A przecież estetyka, a przecież etyka, a przecież literatura. Za czasów młodzieńczych Profesor wydrukował w „Chimerze” wiersz w sąsiedztwie takich nazwisk jak Zeromski, Wyspiański, Kasprówicz i Miciński, a w roku 1956 „Czytelnik” wydał jego przekład drugiego tomu „Czarodziejskiej góry” pod pseudonimem Jan Łukowski. Dodajmy, że i Profesor Kotarbiński często ujmował literackie pióro, co uwidoczniło się w zbiorze jego popularnych fraszek pt. „Wesołe smutki”. Oto:

*Rad jestem, że nie biskup ani nie generał,  
Zem w wolnym dociekaniu mózgowicę sterał,  
Lecz pragnę, by publiczność słów moich*

*stuchala,  
Tak jak stucha biskupa albo generała.*

I jeszcze jeden rys wspólny jubilatów, dla nas specjalnie miły: oba życiorysy mają coś wspólnego z Lubelszczyzną. Profesor Kotarbiński w czasie okupacji ukrywał się w Krężnicy Okragłej i w Krzu, a Profesor Tatarkiewicz jako młodzieniec spędził wakacje u swej babki w majątku Bełżyce pod Lublinem. Także jest zwolennikiem poglądu o odrębności typu lubelskiego w architekturze pierwszej połowy XVII wieku.

Dwie wybitne osobistości, dwa długie i zasłużone życia. Złączone czasem, dziedzina pracy, uznaniem ludzi. Pięć lat temu na uroczystościach jubileuszowych przewodniczący Komitetu Nauk Filozoficznych PAN prof. Jan Legowicz posłużył się zwrotem: *Wasze życie i praca (...) jest księgą tych, co umiłowali mądrość, i tych którzy w niej mądrość odnajdują. Mądrość zawsze włączoną w skarbnicę polskiej kultury.*

Z. M.

**Z**EBY był wykształcony i doświadczony, ale nie stary. Zebym nie tylko tyrał i tyrał od rana do wieczora, lecz również chciał pożyć trochę. Zebym nie zawesał do siebie i pod siebie, ale i dla ludzi nieco, społecznie jakby. Zebym co chwila mówił: to ja panu prawdę powiem, tylko niech pan wyłączy mikrofon. No i żądany polowiczności, żdziebko ziemniaków, żdziebko żyta, lecz specjalistyczne gospodarzenie wielkoprodukcyjne.

Tak myślę i z ostrożną nadzieją spoglądam na Pawła Patyrę, szczupłego czterdziestolatka, który — wedle referencji Wydziału Rolnictwa Urzędu Wojewódzkiego — powinien spełniać oczekiwania. We wsi Dziuchów gminy Niemce, około 20 km od Lublina.

Patyra opowiada, jak jego ojciec, przedwojenny działacz kółek rolniczych gospodarzący na 18 hektarach, zaczął się uczyć potomstwu. I Paweł skończył Liceum Ekonomiczne im. Vetterów w Lublinie, szkołę markową; a potem jeszcze Wyższą Szkołę Ekonomiczną w Częstochowie i zaczął pracować w świdnickiej WSK. Były to lata, kiedyśmy wieścili rychły koniec gospodarki indywidualnej na wsi, a 18 hektarów gruntu zakrawało wprost na kulaństwo. Patyrowie urządzili oddać gospodarstwo państwu.

— Ale że w międzyczasie nastąpił rok 56, ojciec powiedział: skoro przetrwałem tyle, to teraz jakże ja mógłbym likwidować gospodarstwo, kiedy tworzą się lepsze warunki i wolno prowadzić?

I wówczas Paweł, magister nauk ekonomicznych, wrócił do Dziuchowa uprawiać ziemię, te 18 hektarów, bo na niego popadło. Starsze rodzeństwo mieszkało już z własnymi rodzinami w Lublinie, młodsza siostra rozpoczęła studia prawnicze, a on był kawaler, więc — jak powiada — normalne i logiczne, że wrócił. Pytam, czy nie szkoda mu było trochę studiów?

— Było po prostu dość przykro. Kiedy po niespełna trzech miesiącach pracy składałem wymówienie w WSK, powiedziałem, że idę do innej fabryki w drugim końcu Polski, gdyż dają tam lepsze warunki. No i wylądowałem w Dziuchowie u ojca i mamy, ale nie pod pierzynę, tylko do roboty.

— Gospodarstwo zastał pan podupadłe i zadłużone?

— Zastałem w pełni produkcyjne, cała ziemia uprawiona, ale nie doinwestowane. Jakaś tam obórka i stodoła, jakieś poddachy i chlewiki. Normalne, skoro się nie inwestowało ponad 20 lat, od 1938 roku. Koń kopnął w ścianę stajni, bale wypadły, bo stare. Wieś niezelektryfikowana, drogi utwardzonej do szosy państwowej brak. Pan sobie nie wyobraża, co to znaczy zła droga, po której trzeba ciągnikami musiało się tauchać jedną przyczepę buraków. Wprawdzie ciągniki wtedy małe były, lecz i przyczepy nieduże...

Paweł Patyra dokumentnie opowiada, jak budowali czynową drogę przez Dziuchów, chytrze obchodząc powiatowe patriotyzmy, gdyż wieś na pograniczu dwu powiatów leżała: lubelskiego i lubartowskiego. Jak ludzie mówili: drogę utwardzamy, bo Patyrze potrzebna, on ma samochód. A Patyra był już wtedy działaczem i faktycznie swój pierwszy samochód, warszawę, część zimy i całą wiosną u sąsiada w stodole trzymał, ponieważ pod własne obejście nie mógł zjechać, dopóki koleiny nie wyschły.

— Skończyło się gadanie, kiedy przez wieś poszły autobusy PKS. A przede wszystkim jest to droga produkcyjna, którą wozimy plody rolne.

— Droga istnieje od paru lat i już zdążyła zniszczyć nieco...

— Fiata na niej rozbiłem niedawno, dużego. Teraz mam kłopot z dostaniem nowej karoserii.

— Ale ja się chciałem spytać o czasy dawniejsze, jak żeście z ojcem zaczynali.

— Niech pan pyta.

— Jak żeście z ojcem zaczynali?

— Od najprostszych inwestycji. Wodę przerobiliśmy, żeby rękoma nie ciągnąć ze studni, tylko

## LIRYKA MŁODYCH

Bożena Kwałowa

**W**ZYWA dyskusja o młodej lirycy w Niemieckiej Republice Demokratycznej, która toczyła się ostatnio na łamach poczytnych czasopiśmie literackich „Sinn und Form” i „Neue Deutsche Literatur” warta jest uwagi polskiego czytelnika. Wszak młodzi twórcy z obu naszych krajów mają podobne ideały i problemy i tym cenniejsza stać by się mogła obopólna wymiana warsztatowych spostrzeżeń i doświadczeń.

Liczni poeci i krytycy NRD — uczestnicy narad, dyskusji i zebrań redakcyjnych — zajęli się w swych wypowiedziach przede wszystkim próbą określenia „na nowo” jakże ważnego dla kultury narodowej miejsca liryki młodych we współczesnej literaturze. Zdaniem znaw-

N  
R  
D

# ŚWIĘTO POLSKIEJ FILOZOFII

nauki posiada cechy specjalnie ją wyróżniające, ale całkowitej opozycji między tymi uczonymi raczej nie ma. Tatarkiewicz oprócz swej fundamentalnej, trzynomowej „Historii filozofii”, posiada w dorobku studia z dziedziny estetyki, etyki, a także znana jest — natchnięta — jego rozprawa „O szczęściu”, natomiast „historyczne” elementy w pracach Kotarbińskiego widoczne są choćby na przykładzie jego dysertacji „Utylitarizm w etyce Milla i Spencera”. Oczywiście — nie ma potrzeby „godzenia” tych dwu stanowisk, każde z nich posiada swoje principium individuationis ale też nie ma uzasadnienia z ich powodu widzieć zasadniczą rozbieżność między inklinacją badacza, a pełną oryginalnych przemyśleń skrupulatnością kodyfikatora i komentatora.

Zresztą profesor Kotarbiński nie od razu zdecydował się na swoją specjalność, bo nawet wtedy, kiedy jasne się stało, że będzie studiował w ogóle filozofię, traktował ją jako sumę wielu umysłowych umiejętności, o czym sam zresztą pisze w swoich wspomnieniach: *Filozofia to jest ogrom i wymaga oparcia o wiedzę przygotowawczą, niezmiernie rozległą. Filozof na dobrą sprawę powinien mieć poważną orientację w matematyce, fizyce, nauce o życiu, językach, dziejach, zwłaszcza dziejach myśli.*

Nielatwo było zdobyć tę rozległą i to nie tylko humanistyczną orientację w historycznych warunkach ówczesnej Polski, a właściwie kraju rozdzielonego między trzech zaborców. Urodzony w Warszawie, Tadeusz Kotarbiński po strajku szkolnym roku 1905 musiał kontynuować studia na Wszechnicy Jagiellońskiej, ale w charakterze wolnego słuchacza, gdyż nieotrzymanie matuży pozbawiało go normalnych uprawnień studenckich. Dopiero zetknięcie się ze słynnym polskim logikiem, profesorem Kazimierzem Twardowskim, na Uniwersytecie Lwowskim, podziało ukierunkowującym przykładem na młody umysł: Kotarbiński wybrał logikę. Oto co sam pisze o swoim wychowawcy: *W studiach głównym moim przewodnikiem był profesor Kazimierz Twardowski, nauczyciel o niezwykłych walorach. Przede wszystkim kontynuator kartezjańskiego dążenia do idei jasnych i wyraźnych. Działal w tym przeświadczeniu, że kto ma myśli wyklarowane, ten i słowa dla niej znajdzie proste i zrozumiałe.*

W roku 1919 Kotarbiński zostaje profesorem Uniwersytetu Warszawskiego, gdzie wykłada logikę i prakseologię coraz wyraźniej z pozycji „szkoły lwowskiej”, następnie „lwowsko-warszawskiej”, wychodząc ku stanowiskom doktryn własnych. Zasadniczymi jego dziełami są „Elementy teorii poznania, logiki formalnej i metodologii nauk”, „Zasady dobrej roboty” oraz „Studia z zakresu filozofii, etyki i nauk społecznych”, ale nie zliczyć również Profesora prac, rozpraw i artykułów rozsła-



# JEDEN Z RODU

Maciej Podgórski



Fot. W. Stepien

już konik w kieracie chodził, potem zainstalowaliśmy silnik spalinowy...

— Braliście jakieś pożyczki od państwa?  
— Wtedy, wie pan, z kredytami nie było tak łatwo. To dzisiaj można przyjść na kawalek czystej, że tak powiem, gołej ziemi, postawić za państwowe pieniądze gospodarstwo, znaczący budynek, zmechanizować, zorganizować, no i prowadzić. My musieliśmy z własnych wygospodarowanych środków. Materiały budowlane powoli ściągaliśmy. Obora, co prawda, pod dachem z blachy ocynkowanej, ale drewniana. Do 62 roku stare budynki przetrwały, ojciec zmarł wtedy gdzieś latem, a ja późną jesienią postawiłem mury pod ten dach na oborze. Podniosło się z sufitem na palach w górę, podmurowało, no i cieszyliśmy się. Wieś dostała światło, przerobiłem studnię na pompę elektryczną, zainstalowałem silniki elektryczne do młocarni, wialni, śrutownik elektryczny. W końcu zabrałem się za stodołę. Gospodarzyliśmy wspólnie z mamą...

Patyra opowiada i opowiada, a ja widzę, że ta historia nie klei mi się w żaden reportaż dramatyczny. Mozolna dłuhanina. Jak próbował hodowli brojlerów, na czym wówczas nikt się w Polsce nie znał za bardzo i brakowało fachowej literatury, więc nie wyszło, gdyż w kurniku trzeba siedzieć bez przerwy, a Patyra już działał społecznie. Jak za noski się wziął, za produkcję jaj konsumpcyjnych. Niby nieźle, ale jeszcze nie to. Jak trzymał kilkanaście krów, lecz obora nie zmechanizowana, udój ręczny. Ciężko dwu osobom na 18 hektarach, o ludzi najemnych do pracy trudno, gdyż w pobliskim Leonowie powstał kombinat ogrodniczy, który siłą roboczą wyssał z okolicy.

— Pan kończył studia ekonomiczne, nie rolnicze. Skąd fachowe wiadomości do prowadzenia „poszukującego” gospodarstwa?

— Dużo wyniosłem z domu, od ojca, który był światłym rolnikiem. Do tego literatura specjalistyczna, instruktaż służby rolnej.

— Różnie mówią o sprawności służb rolnych...

— Jeśli człowiek chce skorzystać, to ma możliwości. Ludzie się przyzwyczaili, iż jak koń czy krowa zachoruje, dzwonią po weterynarza, i dobrze, ale jak w polu coś nie wychodzi, chłop mówi: no nie wyszło, nie urodziło się. A to nie jest wcale prawda, gdyż i w tej dziedzinie są fachowcy, których trzeba słuchać. Kto słucha, ten źle nie wychodzi. Inna sprawa, że teraz na rolnictwie wszyscy się znają i czasem stąd się rodzą sprzeczności. Pan Zalewski z TV swoje, gazety swoje, agronom swoje.

— Pan kogo posłuchał?

— Zaczęłam szukać takiego profilu produkcji, takiej wielkości i asortymentu, żeby się uniezależnić od najemnej siły roboczej, korzystać jedynie z maszyn własnych i wypożyczonych z kółka rolniczego... Dziś na wsi robotnik droży się, 200 złotych dniówka, przywieź, odwieź, obiad daj.

— Przepraszam, że akurat pytam w tym momencie, lecz kiedy pan się ożenił, bo widzę, że tu

się kręci wokół nas dorodna kobieta i działki male?

— Ożeniłem się w roku 1970. Zona pochodzi z dużego gospodarstwa, skończyła ogólniak w Lublinie, ale traktorem kieruje lepiej niż ja, obsługuje maszyny rolnicze. Zrobiło mi się źle w gospodarstwie, inny rozkład pracy. No i po długich konsultacjach z ówczesnym Rolniczym Rejonowym Zakładem Doswiadczałym w Końskowoli postanowiliśmy hodować młode bydło rzeźne, czyli bukaty, a produkcję polową przeznaczyć na paszę.

I znowu uciążliwa wspinaczka. Modernizacja i powiększenie obory, zmiana struktury zasiewów, budowa silosów na kiszonki. Gospodarstwo niby zmechanizowane, ale weźmy choćby taką sprawę kukurydzy. Pytam Patyrę, czy kukurydza to jest nowość, bo widzę, że przyjechał do niego naczelnik gminy Niedźwiada spod Lubartowa i chce tu swych rolników zachęcać do kukurydzy, na kiszonki, oczywiście, dla bydła.

— Żadna nowość, pamiętam jeszcze u mojego dziadka „koński ząb” był siany, mniej więcej prawie że to samo. Po wojnie kukurydzą propaguje się w Polsce od dawna, nawet ją zwaliśmy „rosliną polityczną”. Dopóty jednak ona nie chwyci, do póki nie będzie odpowiednich maszyn do siewu i zbioru. Ja mam sześć hektarów kukurydzy i z siewem radzę sobie we własnym zakresie. Opracowałem technologię: wyoruję glebę pługo-frezarką, nie bronuję, lecz na tak spulchniony grunt wjeżdżam siewnikiem zbożowym, z tyłu siedzi żona na tej ławeczce i po prostu nogami wiska lejki, żeby nasiono kukurydzy poszło głęboko, jak potrzeba. Dopiero potem bronuję i czekam parę dni...

— Na co?

— Aż wjeżdżie i wezmą się za ten interes wrony. Ptaszek potrafi sobie rządkiem iść i stuka dziobem, wcale nie puduje, każdy kielek zniszczy. Rada na to? Tak, rada jest, oczywiście, bardzo prosta, spędzanie od brzasku do zmierzchu, czyli w lecie praktycznie 20 godzin na dobę. W zeszłym roku cztery doby z żoną spędzaliśmy, a pole ma 800 metrów długości... Ponieważ należymy do gospodarstw wdrożeniowych, więc do sprzętu wypożyczam kosiarko-sieczkarnię polową z Końskowoli, ale jak się kukurydza na przykład wyłoży to już praktycznie brak maszyny do zbioru, podobnie z maszynami do sprzętu kukurydzy na ziarno, przecież ręcznie nie będę każdej kolby łuskał!

— Lecz pomówmy o bukatach.

— Oborę pan zobaczy, trzymam 70 sztuk. Ponadto tylko krówkę i trochę kur. Cykl produkcyjny u mnie trwa około 10 miesięcy, potem sprzedaję. Komu? Myślałem o kooperacji z PGR, ale to się nie opłaca, prawdę mówiąc. Najwyżej, gdy oni są pod planem, sprzedam im doraźnie kilkanaście sztuk, wówczas skłonni więcej płacić, bo szybko potrzebują do dalszej hodowli. Normalny, twardy targ. Będę handlował z zakładami mięsnymi. Tu też rozmaicie się zdarza. Łuków potrafi bez reklamacji przysłać opłatę dla rolnika z tytułu wy-

szego przeklasyfikowania dostarczonego bydła Lublin nigdy.

— To wszystkie kłopoty?

— W tym roku udusiły mi się dwa byki. Modernizacja obory była konsultowana z Akademią Rolniczą w Lublinie, projekt porealizacyjny uzyskał nagrodę w konkursie wojewódzkim i wyróżnienie w konkursie krajowym, ale wraz wychodzą jakieś problemy. Mszczą się uniwersyteckie błędy, u mnie akurat uwięzy są niedobre, istnieje trudność w zadawaniu paszy. Znow myślę o modernizacji. Wszystkie jeszcze trochę improwizujemy.

— Eleganccy ludzie podobno nie rozmawiają o pieniądzach, ale ja nie jestem elegancki człowiek. Wartość środków trwałych w pańskim gospodarstwie?

— Szacunkowo około półtora miliona złotych, zabudowania i maszyny: traktory, kombajny...

— Jakimi kwotami pan obraca?

— Za zeszły rok nakłady na materiał hodowlany, paszę, nasiona i nawozy wyniosły około 650 tysięcy złotych, sprzedaż zaś około 800 tysięcy.

— To jest dobrze?

— Dobrze będzie, gdy na hektar ziemi wyjdzie mi 20 tysięcy złotych zysku. Trzeba pamiętać iż gospodarstwo obciążone kredytami, bez których ani rusz. Dom mieszkalny wymaga kanalizacji i łazienki.

Rozglądam się po mieszkaniu Patyrów. Oni zwyczajni takich wizyt, różni tu przyjeżdżają, nawet minister raz trafił się. Gospodarz prowadzi księgę, do której goście mają wpisywać uwagi. Pani inspektor z Końskowoli wieszkuje sobie: „Należałoby koniecznie wprowadzić do żywienia mocznik w postaci syplkiej lub lepiej koncentratu mocznikowo-mineralny”. Paweł Patyra śmieje się:

— Tylko skąd to brać, bo w handlu nie ma? Ale, ale. Ostatnio słyszę, że Końskowola czyni jakieś starania u producenta...

— Widzę, że macie wodociąg, centralne ogrzewanie, telewizor kolorowy, fiat stoi w garażu... Dużo...

— Rozbity.

— Rozbity, wszystkie nowoczesne pomoce kuchenne w postaci lodówki, piecyka gazowego, pralki automatycznej...

— Robot mam obiecany — dodaje żona gospodarza.

— Więc jak pani sobie radzi z gospodarstwem domowym, z dziećmi?

— Głównie dzięki pomocy babci, nieocenionej wprost w tych warunkach.

— Ech, te babcie szczerzółce! — wzdycham.

— A żeby pan wiedział, ponadto ja raz na dwa tygodnie muszę pojechać do fryzjera i manikurzystki w Lublinie. Dobrze, iż mamy samochód.

— Rozbity.

— Rozbity, ale o małym fiacie się też myślę.

— Co u państwa znaczy odpoczynek? — pytam gospodarza.

— Jeszcze nie jesteśmy tak zorganizowani, żeby systematycznie z weekendu sobotnio-niedzielnego korzystać. Tu się pracuje świętek-piątek, aż człowiek prześmiardnie tą oborą. Produkcja jest cykliczna: kupuję, hoduję, sprzedaję, dezynfekcja, przerwa i wtedy urlop. W zeszłym roku na przykład żona pojechała z wycieczką na Kaukaz, dwutygodniową, mama do sanatorium, dzieci do drugiej babci, ja się zostałem w domu, gdyż nie można wszystkiego zamknąć, kłódkę powiesić, ziemia się tuczy pod okiem rolnika...

Z tego wszystkiego zapomniałem spytać Pawła Patyrę o rzecz najważniejszą — jakie są ludzkie korzenie? Ale przewiduję, co bym usłyszał w odpowiedzi. R o d z i n a.

Ród Patyrów jest mężny, w Lublinie nielicho rozgałęziony i skoliżony. Oni się podobno co jakiś czas spotykają na zjeździe rodzinnym w Dziuchowie, gdzie obok domu sad i ogród warzywny, krzewy ozaobne, a każdy krzew inny kwiat niesie. I Paweł Patyra należy do tego rodu.

ców, wnikliwie analizujących najnowsze tendencje rozwoju tej gałęzi pisarstwa w NRD, coraz wyraźniej zarysowuje się w niej fascynacja własną osobowością, własnym niepowtarzalnym „ja” poety. Należy jednakże zdecydowanie podkreślić, iż nie osłabia to zaangażowania młodych NRD-owskich autorów w sprawy epoki i w problemy dnia dzisiejszego.

„Kim jesteśmy, na co nas stać?” — oto, według przedstawicielki tejże generacji, Hannelore Becker, węzłowe pytanie, na które owa „do wewnątrz” ukierunkowana poezja wytrwale szuka odpowiedzi.

Friedemann Berger, który zadebiutował niedawno tomikiem czterdziestu wierszy, mimo (a może właśnie dzięki) pewnej lakoniczności i oszczędności wyrazu, zwrócił na siebie zycielną uwagę co uważniejszych krytyków literackich. Podkreślana w recenzjach precyzja i umiar w rejestrowaniu rzeczywistości, a zarazem finezyjność i elegancja w poetyckim przekazywaniu wrażeń i obrazów świadczą o wcale dobrym opanowaniu przez niego poetyckiego rzemiosła, jak np. w wierszu o jesieni:

## PORA JESIENNA

chusta z błędów i wierszy utkana.  
Prawdą jedynie

nasza błękitna przy sobie  
obecność  
i ostatnich astrów ślad  
w załomie muru.

Tam biegniemy.

Nie, pora jesienna  
nie jest chustą  
z błędów i wierszy utkana.

Prawdą jedynie  
nasze błękitne obok siebie  
trwanie  
w bliskości  
pod murami.

Tam do dziś jeszcze  
gwarzą nasze cienie.

Pora jesienna...  
Prawdą jedynie  
moja  
pisanie o świecie  
gotowość.

U Bergera widzimy również wpływy lansowanego od niedawna w NRD świadomego nawiązywania do najlepszych tradycji postępowego nurtu literatury niemieckiej. Szereg wierszy zawartych w zbiorze zarówno swym poetyckim klimatem jak i bogactwem metafor (na nowo docenionych w poezji NRD) przywołują na myśl austriackiego surrealistę Paula Celana czy też René Chara. Pamięci ekspresjonistycznej poetki Elzy Lasker-Schüler poświęcił Frie-

demann Berger cykl urokliwych erotyków.

Wymownym przykładem estetycznych poszukiwań liryki NRD są wiersze zaprzyjaźnionego z naszym krajem poety średniego pokolenia, Hansa Cibulki, zamieszczone w tomiku pt. „Jaskółki światła”. Podkreśliwszy w swym wcześniejszym eseju analogie pomiędzy nowatorstwem muzyki Hindemitha i Honeggera, współczesnymi tendencjami w architekturze i rozluźnieniem struktury fabularnej powieści dwudziestowiecznej, w utworze „Prolog” domaga się Cibulka uprzywilejowanego miejsca w poezji dla wolnego, nienumerycznego wiersza:

## PROLOG

Alarm sejsmografów:  
wybuchy  
wstrząsają wierszem,  
pęka  
jambów napięty łuk,  
to  
rym  
w sobie zakochany  
umiera.

Moja  
jawi się przed nami  
obrzymieje  
zrzuca  
żelazne okowy  
na ziemię.

Verse libre,  
z tobą  
uwolnię prawdę  
z lodowych brzoł...

Pozytywne wyniki ożywionych kontaktów pomiędzy środowiskami kulturalnymi Polski i Niemieckiej Republiki Demokratycznej widoczne są ostatnio i w dziedzinie wzajemnego poznawania poezji przez czytelników obydwu krajów. O szerokim zainteresowaniu tą problematyką świadczą liczne przekłady na łamach czasopism literackich, antologie liryki, spotkania autorskie. Coraz częściej pobyt naszych sąsiadów w Polsce przynosi plon artystyczny w postaci wspomnień, szkiców i esejów (Joachim Walther) czy też wierszy, jak np. utwór Hermanna Otto-Lauterbacha o Bieszczadach:

Fascynacja polską kulturą i pięknem polskiego krajobrazu zdołała już bezsprzecznie wzbogacić tematykę młodej liryki NRD, a nam wypadnie tylko się cieszyć, gdy w przyszłości pozostanie dla niej nadal niebagatelnym źródłem poetyckiej inspiracji.

Wiersze w przekładzie:

Bożeny Kowalowej





Mgr Andrzej Szpringer



Doc. dr hab. Zbigniew Szeloch



Dr Roman Tokarczyk



Prof. dr hab. Tadeusz Mencil



Doc. dr Zygmunt Mańkowski



Mgr Włodzimierz Koprucki

Dokończenie ze str. 1

T. Mencil: — Najgorszy los, jaki może spotkać naród, to właśnie upadek państwa. W czasach nowożytnych najtragiczniejszą dla mnie datą jest rok 1795, związany z utratą państwowości przez Polskę. Próbowałem kiedyś historycznej „refleksji graficznej” przy pomocy mapy Polski przed- i porobio-rowej. Otóż przed rokiem 1795 wszystkie siły duchowe i materialne kraju zmierzały do Warszawy. Natomiast później Berlin, Petersburg i Wiedeń ściągają do siebie wszelkie wartości z poszczególnych zaborów. Zaskakujące może dla nie-historyka, ale prawdą jest że nie wszyscy oświeceni tamtych czasów zdawali sobie sprawę ze znaczenia posiadania suwerennego państwa. Na przykład Czacki, nieposzlakowany zresztą patriota, porównując upadek Polski ze zniknięciem Kartaginy widział w rozbiorach tylko ostatni etap niejako naturalnego procesu bio-historycznego. Każdy naród przechodzi okres dzieciństwa, dojrzałości, a potem starzeje się, obumiera... Mylnie to, naiwne, ale przecież niebezpieczne przekonanie. Jeśli zaś chodzi o pojęcia, którymi posługujemy się w tej dyskusji: nie wiem, czy można tak jednoznacznie mówić o „świadomości państwowej”. Rodzaj świadomości zależy od stopnia kultury w społeczeństwie, od poziomu gospodarki, od układu stosunków międzynarodowych itd. Poza tym warto by zastanowić się, na kim spoczywa obowiązek świadomości państwowej, narodowej. Na chłopie? Na najwyższych organach rządzących, dających niejako przykład grupom społecznym na niższych szczeblach organizacji państwowej?

W. Koprucki: — Wydaje mi się, że słusznie rozpoczęliśmy dyskusję od spojrzenia na problem pod kątem historycznym. Wspomniano już o następstwach okresu, kiedy Polska znajdowała się pod zaborem, zwrócono uwagę na dramat społeczny lat międzywojennych, które ulokowały np.

chłopów na marginesie kultury i oświaty, co utrwaliło w nich wiele cech negatywnych, dających o sobie znać znacznie później. Biedny w swej masie, walczący o zachowanie biologicznej egzystencji chłop patrzył na wszystko przez pryzmat osobistego interesu.

Teraz, na szczęście, jest już inaczej. Mamy na to wiele pozytywnych przykładów. Wieś polska całkowicie poparła zbiórki na Społeczny Fundusz Budowy Szkół i Internatów, podobnie jak dzisiaj wspiera Fundusz Ochrony Zdrowia. Albo czyny społeczne: na Lubelszczyźnie w dawnych granicach budowano rocznie kilometry dróg, świetlice i remizy strażackie o wartości miliarda złotych. Można zatem powiedzieć, że wzrost świadomości państwowej, obywatelskiej jest procesem sprawdzalnym, zacierającym nie dobrą tradycję. Inna sprawa, że i dzisiaj rolnicy najchętniej wspierają przedsięwzięcia, które przynoszą im korzyść bardziej bezpośrednio. Decyzja o wzniesieniu w jakiejś wsi gminnego domu kultury odwraca od sprawy mieszkańców sąsiednich miejscowości, przynależnych do tej samej jednostki terytorialno-administracyjnej.

Z. Szeloch: — Nie jestem historykiem, lecz teoretykiem organizacji i zarządzania, więc spojrzę na problem z innego punktu widzenia, nawiązując przecież do wypowiedzi profesora Mencil. Otóż „myślenie w kategoriach pań-

stwa” może rozwijać się na trzech płaszczyznach. Na pierwszej pojawia się stosunek typu „ja” — „oni”, zauważalny w przeszłości, także międzywojennej, kiedy to, jak przypominał docent Mańkowski, ojczyzna była nie matką, lecz macochą. Na drugiej występuje związek typu „ja” i „my”, który funkcjonuje jednak na zasadzie sprzeczności: „ja” i „my”, czyli faktyczne utożsamienie interesów elementu składowego z interesami zbiorowości, interesów obywatela z interesami państwa. Wydaje mi się, że społeczeństwo polskie wkracza właśnie na ten trzeci

wej innowacji (łączącej się ze zdrową reformą), bierność graniczącej z kwilactwem, bunt...

A. Szpringer: — Ja natomiast chciałbym spojrzeć na sprawę oczyma praktyka. Czy świadomość państwowa polega na poszanowaniu jakiejś instytucji państwowej? W pewnym sensie tak. Jeśli jednak taka instytucja nie szanuje obywatela, jeśli w urzędzie odsyła się petenta od Annasza do Kafasza, to co? To obywatela krew zalewa i zle go myśli, ogólniejszej natury, nachodzą. Stosunek obywatela do państwa kształtuje się w trakcie codzien-

# PATRIOTYZM DNIA

teren, na obszar budowy rozwiniętego społeczeństwa socjalistycznego.

T. Mencil: — Sądę, że warto zastanowić się, jakie czynniki tworzą świadomość państwową i czy spełniane są już one w dzisiejszym społeczeństwie. W naszej rzeczywistości...

R. Tokarczyk: — Wejrzenie w treść świadomości jest rzeczą niezmiernie trudną, bardziej wiarygodne wydają mi się próby oceny i charakterystyki postaw. Biorąc pod uwagę myśl polityczną można wskazać — w ujęciu modelowym — na takie typy postaw każdego obywatela wobec swojego państwa: oportunistyczną, konformistyczną, nonkonformistyczną, legalistyczną, zdro-

nych, nierzadko prozaicznych kontaktów z instytucjami, które są wytworem tego państwa... Czy świadomość, o której mówimy, to inaczej poszanowanie określonych wytworów kultury społecznej, określonych pryncypiów i zasad politycznych? Tak, przynajmniej w moim przekonaniu. Na początku lat siedemdziesiątych powiedziano: więcej dyskusji przed podjęciem decyzji, więcej konsekwencji i uporu w trakcie jej realizacji. Racjonalna, mądra dyrektywa. Mam pewne doświadczenia z pracy w terenie, mogę więc odpowiedzianie powiedzieć, że głosowanie za uchwałami przychodzi tam łatwo, natomiast ich realizacja sprawia nierzadko znaczne kłopoty. Powinniśmy mieć chyba więcej szacunku dla własnych decyzji...

## Wyjście z ciszy

Małgorzata Sawicka

— To był czterdziesty piąty rok. Kwitły kaczęce na łąkach, gdy zdarzył się ten wypadek. Miałem wtedy 11 lat. Znalazłem pudeleczek. Pamiętam, że było zielone. Wziąłem je w ręce. Chciałem otworzyć. Ono eksplodowało. I... wszystko się zamknęło.

**T**AK zaczyna opowieść o swoim życiu Wincenty Mierzejewski, który pracuje w Spółdzielni Niewidomych w Lublinie bez mała dwadzieścia lat. Podobnym zdarzeniem rozpoczyna się biografia przyjętego do pracy przed miesiącem, 19-letniego Ryszarda Budniaka.

Polski Związek Niewidomych zrzesza w naszym regionie ok. 2,5 tys. członków. Tylko w ubiegłym roku, jak twierdzi długoletni działacz Związku, prezes do spraw rehabilitacji Spółdzielni Niewidomych, Marjan Ostojewski, przybyło ich prawie 400. Częste wypadki ociemnienia stały się chyba po-

ważnym problemem na naszym globie, skoro Światowa Organizacja Zdrowia rok 1976 ogłosiła rokiem zapobiegania ślepoty.

Przybywa także inwalidów o innych rodzajach schorzeń. Może zabrzmi to paradoksalnie, ale współczesna medycyna, rozwój techniki i motoryzacji, między innymi także wpływają na powiększanie się szeregów ludzi kalekich. Wystarczy zwrócić uwagę na dzieci, które żyją mimo poważnych wad wrodzonych, albo na ofiary wypadków drogowych. Państwo gwarantuje ludziom niepełnosprawnym renty i opiekę w domach specjalnych, ale większość inwalidów chce pracować. I właśnie tę szansę daje im spółdzielczość inwalidzka. Przez 27 lat egzystencji zdążyła już okrzepnąć, wydorosnąć, dopracować się poważnych osiągnięć. A mimo to nadal jest mało znana i jakże często niedoceniana...

Wydział elektryczny w zakładzie pracy chronionej przy Spółdzielni Niewidomych w Lublinie, to zwykła, widna hala gęsto usiana stanowiskami pracy. Przy zielonych stołach zajęci codzienną robotą ludzie. Obraz, jaki można zobaczyć w setkach tego typu hal. Tylko młody chłopak w ciemnych oku-

larach łączy dwie blaszki i przykręca śrubkę nie patrząc na ręce. Głowę ma odchylną do tyłu, jak pianista, który wsłuchuje się w melodię płynącą spod dobrze znanej mu klawiatury. A inny, idący wzdłuż stanowisk z pudłem wypełnionym czerwonymi wyłącznikami, upewnia się głośno:

— Dobrze idę? Zebym się na nikogo nie nadział, bo rozsyplę...

W wydziale elektrycznym pracują wyłącznie niewidomi i bardzo słabo widzący (według orzeczeń Komisji do Spraw Inwalidztwa i Zutrudnienia są to inwalidzi I i II grupy). Montują oni, bezbłędnie i precyzyjnie, wyłączniki do pralek, bezpieczniki i wyłączniki do fiata, żuka, syreny i stara. W innych wydziałach powstają palniki do piecyków gazowych, szczotki, które niewidomi robią od 25 lat, to znaczy od chwili powstania lubelskiej spółdzielni, zaciskacze do transfuzji krwi.

Ale kiedy zobaczyłam maszynę obsługiwana przez Wincentego Mierzejewskiego, dopóty nie mogłam wyobrazić sobie, jak niewidomy bez obu rąk wycina z metalowej taśmy perforowanej blaszki, dopóki mi tego nie zademonstrowano. Obok Ryszarda Budniaka, niewidomy bez jednej ręki, owe blaszki zagina. Oba robią to bardzo szybko. Ale droga do takiej sprawności, przynajmniej w przypadku Mierzejewskiego, nie należała do łatwych.

— Były czasy, że buntowałem się przeciwko trudnościom życiowym, ale doszedłem do wniosku, że taki bunt nie daje. Jeszcze bardziej mnie to jakoś rujnowało. Więc przede wszystkim starałem się zwalczyć w sobie wszelkie bunty. Bo życie jest dobre ta-

kie, jakie jest. Pamiętam, jak w Laszkach dyrektor Ruszczyk robił ze mną pierwsze próby przy warsztacie tkackim. Miałem wtedy osiemnaście lat i bardzo chciałem uczyć się, iść do szkoły, pracować... Zrobiłem wtedy 10 cm białego płótna. I uwierzyłem, że sobie poradzę. Myślałem: jeśli zrobiłem 10 cm, to muszę zrobić tyle, żebym mógł zarobić na siebie, na życie. Pan Ruszczyk, pamiętam, klepnął mnie po ramieniu i powiedział: „Będziesz pracował, dziecko kochane”. A ja sobie mówiłem: „Ja muszę, ja muszę!” I przezwyciężyłem wszelkie trudności.

W spółdzielczości inwalidzkiej rehabilitacją, albo inaczej adaptacją społeczno-zawodową, zajmuje się cały zespół ludzi. Lekarz, psycholog, często socjolog i pedagog, instruktor wychowania fizycznego, służba socjalno-rehabilitacyjna spółdzielni. Mają oni za zadanie tak pokierować leczeniem, pracą, zorganizowaniem czasu wolnego inwalidy, żeby ten mógł nie tylko zarobić na życie, ale żeby również znalazł satysfakcję w działaniu pozazawodowym. Niemniej najważniejsza jest praca. Zespół rehabilitacyjny ma właśnie za zadanie dobrać odpowiednią pracę i dostosować stanowisko do rodzaju kalectwa. Czasem wystarczy drobne usprawnienie organizacyjne (umieszczenie detalu z właściwej strony), czasem dźwięgienka, pedał czy osłona przy maszynie, czasem tylko odpowiednie siedzenie (np. fotel epileptyczny przy maszynie do szycia).

Nie zawsze jednak hale produkcyjne inwalidzkiej spółdzielni są widne i przestronne. Głód lokalowy towarzyszył spółdzielcom od początku zrzeszenia. Bywają stanowiska z trudem mieszczące się w ogonie przyjętych



Czy świadomość państwowa — dotknął...  
...z tej kwestii profesor Mencil — może i powinna być jednakowa w grupach programujących życie społeczne i wśród rolników, na przykład? W sensie odpowiedzialności za powierzony odcinek pracy — tak...

Z. Szloch: — Z tym, co powiedział towarzysze Szpringer, wiąże się kapitalny problem: identyfikacji celów jednostkowych z celami zbiorowości. Bliższa koszuła ciała, taka jest prawda, rzecz jednak w tym, aby przekonać ludzi, że realizacja celów jednostkowych jest determinowana realizacją celów ogólnych i vice versa, że cele państwa można osiągnąć tylko wówczas, jeśli będziemy do nich zmierzać na każdym poziomie, w każdym miejscu życia społeczno-gospodarczego. Chodzi o to, aby Polacy nabrali głębokiego przekonania w wielki, ogólnopolski sens indywidualnego, związanego z pozornie drobnymi sprawami działania.

A. Szpringer: — Właśnie. Chodzi o identyfikację na każdym poziomie, w warunkach zakładu pracy, środowiska społecznego, wsi. Ostatecznie chodzi o rzetelną robotę i szacunek dla tej roboty. Tymczasem bywa z tym różnie. Nie ma sensu dłużej rozstrzygać się nad pewnymi „operacjami statystycznymi” z przeszłością. Zle pojmywane ambicje lokalne, asekuranctwo i partularyzm doprowadzały do zniekształ-

sprawiedliwości społecznej. Jeśli urzędnik nie spełnia swoje zadania, jeśli przedsiębiorstwo niszczy teren zagospodarowany wcześniej w czynie społecznym...

A. Szpringer: — ...co zdarzyło się gdzie spychacz zniwelował teren przygotowany przez mieszkańców osiedla pod trawniki...

T. Mencil: — ...to ukarzymy, kogo trzeba. W praktyce nikt u nas za to kary nie ponosi. Poczucie konieczności podporządkowania się jednemu prawu wzmocniłoby świadomość prawną społeczeństwa.

R. Tokarczyk: — Pokutuje jeszcze u nas skłonność do organizowania za wszelką cenę. Chcemy wszystko organizować.

Z. Szloch: — Nie utożsamiamy organizowania z instytucjonalizowaniem...

R. Tokarczyk: — Chwileczkę... Jestem zwolennikiem organizowania, ale tylko ważnych dziedzin. Podśmiewają się z nas za granicą, że jak nie powołamy jakiejś instytucji, to nic nie zrobimy. Polacy — mówi się — tak wiele wysiłku wkładają w powołanie instytucji, że później nie mają siły, aby nadać jej rytm sprawnego działania. Poprawiać i reformować dotychczasowe instytucje trzeba, ale kierując się dyktatem samego życia. Z przerosu form instytucjonalnych wynika narzucanie obywatelowi zbyt wielkiej liczby kon-

...skich, zrobi to za nas ktoś inny, nie-rządzący ideologicznie.

Z. Szloch: — Oczywiście, nie wolno przemilczać spraw najbardziej nawet czułych.

R. Tokarczyk: — Podsumowując: Nasz model demokracji wymagałby sprawniej organizacji ale tylko w wybranych, ważnych dziedzinach działalności publicznej. Obywatel kocha swoje państwo, lecz nadmierne z nim kontakty męczą go.

W. Koprucki: — Nie mogę zgodzić się z tym ostatnim stwierdzeniem. Oczywiście, kontakt z kolegiem karno-orzekającym nikogo nie cieszy. Moje obserwacje pozwalają na wniosek, że np. społeczność wiejska chętnie i spontanicznie uczestniczy w spotkaniach z przedstawicielami władzy. Mogę też powiedzieć, że w ostatnich kilku latach wyraźnie wzrasta poziom świadomości obywatelskiej. W ubiegłym roku do Urzędu Wojewódzkiego w Lublinie wpłynęło ok. 4 tysiące skarg i wniosków od osób prywatnych i instytucji; mam na uwadze województwo w nowych granicach. Jeśli w roku 1974 potwierdziła się zasadność ok. 42 proc. skarg, to w minionym wskaźnik ten obniżył się do 30,5 procenta. Znamienne, nie do pomyślenia przed dziesięciu laty: 40 proc. skarg miało na względzie dobro społeczne, nie dotyczyło spraw prywatnych. Dziś publicznie, na zebraniach wiejskich, wskażuje się palcem na sąsiada, który źle gospodarzy. Bo rolnicy zaczynają rozumieć, że ziemia jest dobrem ogólnonarodowym i musi rodzić.

Z. Mańkowski: — Co utrudnia pogłębienie świadomości państwowej? Co możemy zrobić, aby pogłębić myślenie kategoriami państwa, spolegliwości i dyspozycyjności wobec państwa i jego koncepcji? Polaków fascynują wielkie wizje. I te wizje mamy. Wykreśliły je kolejne zjazdy partii, narady aktywu, plena. Teraz chodziłoby o większą energię w momencie wprowadzania wizji w kształt materialny. Niekiedy odnoszę wrażenie, że niektóre narody w systemie socjalistycznym wykazują większą energię i ambicję w działaniu. Czy my naprawdę zdajemy sobie sprawę z tego, co powiedział Edward Gierka, wskazując na ogromne tempo światowego wyścigu cywilizacyjnego, które może nas wyrzucić na pobocze techniczne, ekonomiczne, a więc ostatecznie na margines narodów — jeśli właśnie teraz nie dokonamy wielkiego wysiłku, nie zmobilizujemy swoich mocy energetycznych?!

A. Szpringer: — W połowie dekady rozwoju społeczno-gospodarczego ważne jest pytanie jak robić, a nie — co pośrednio zauważył docent Mańkowski — co robić. Cele mamy jasno określone, chodzi o dobór odpowiednich metod i środków, o uwrażliwienie świadomości zbiorowej na treść programów społeczno-gospodarczych. Rzecz w tym, aby ten wielki kodeks

narodowego postępu niejako rozpisane na poszczególne instytucje, zakłady produkcyjne, na konkretnych ludzi. Powodzenie naszego wspólnego przedsięwzięcia w pierwszym rzędzie zależy właśnie od ludzi, od ich postaw, zaangażowania, od zrozumienia na czym polega „patriotyzm dzisiejszego dnia” — że przytoczę sformułowanie Edwarda Gierka. To jest pojęciowo zbliżenie do fundamentu naszej współczesnej, polskiej i socjalistycznej polityki, jakie piętrzą się w tym właśnie, szczególnie czułym rejonie zbiorowości. Świadomość ludzka — ile w niej miejsce wrażliwych, umykających definicji, ile w niej skomplikowanych treści.

Z. Szloch: — Mówi się, że jak się Polacy zbiorą, to zaraz zaczynają narzekać. W związku z tym opowiem panom o pewnej specjalności, która powstała pięć lat temu w USA. Ludzie, którzy ją uprawiają — filozofowie, ekonomiści, socjologowie, logicy — zważają antyetykami i zarabiają krocie. Podstawowym ich zadaniem jest niezgodna, negowanie, krytykowanie, psucie, można powiedzieć — totalne małkonstwo. Ożóż po otrzymaniu wszelkich materiałów, niezbędnych do podjęcia decyzji, panowie ci mówią „nie” a następnie uzasadniają swoją opozycję. Wypadkowa tych działań przynosi w praktyce znakomite — podobno — efekty. Proszę panów, czy Polacy nie są z natury antyetykami?! Gdybyśmy jeszcze potrafili wykorzystać to nasze specyficzne uzdolnienie, racjonalnie je skanalizować!

Z. Mańkowski: — Pewien naukowiec i inżynier w jednej osobie powiedział, że Polacy to taki naród, który jeśli otrzyma zadanie niemożliwe do wykonania, to je wykona!

A. Szpringer: — Bywają też inne zachowania. Polak od państwa żąda, lecz sam nie zawsze chętnie daje państwu.

R. Tokarczyk: — Czy państwo jest celem? Nie, jest środkiem do celu, jakim jest człowiek, jego wszechstronny rozwój.

A. Szpringer: — Tak, to nie ulega najmniejszej wątpliwości.

I. J. Kamiński: — W naszej dyskusji chodziło o możliwie dokładne rozważenie konkretnego problemu o szczególnej wadze i aktualności, o szczególnych uwarunkowaniach, być może nie występujących nigdzie poza Polską. Czy wywiązaliśmy się z tego zadania, niech ocenią czytelnicy „Kamery”, których zapraszamy do osobistych wypowiedzi na naszych łamach. Dziękuję panom za interesujące refleksje, za werwę polemiczną i przyjęcie naszego zaproszenia do kolejnych dyskusji, które zamierzamy na stałe wprowadzić do praktyki redakcyjnej.

(Od redakcji: są to fragmenty obszernej dyskusji).

# DZISIEJSZEGO

cania informacji. Skutki tych przekłamań informacji odczuwano zresztą po pewnym czasie.

I. J. Kamiński: — Aby wspomniana identyfikacja zaistniała, społeczeństwo musi być dokładnie informowane o ważnych sprawach państwowych.

T. Mencil: — Mówiąc głośno o naszych sukcesach, o pozycji ekonomicznej i politycznej w Europie, powinniśmy również głośno mówić o naszych niedomaganiach i ich źródłach. Po to, aby je usunąć. Inna sprawa: wyrabiając w ludziach poczucie konieczności podporządkowania się zarządzeniom instytucji państwowych, nie zapomnijmy o dawaniu ludziom satysfakcji moralno-prawnej, satysfakcji płynącej z widocznego i skutecznego funkcjonowania

taktów zbytecznych. Niektórzy przedstawiciele władzy chcą mieć obywatela przed sobą, a tymczasem wiele spraw można załatwić przez telefon czy drogą korespondencyjną. Po co ta ciągła konfrontacja? Należy selekcjonować kontakty osobiste z obywatelami... Druga kwestia: Każdy ustrój czerpie siły oczyszczające z tego, że informuje w pełni społeczeństwo, które tym samym nie musi dochodzić do prawdy krętymi ścieżkami. Jednocześnie informowanie podnosi prestiż władzy i sprzyja kształtowaniu się autentycznej opinii publicznej.

I. J. Kamiński: — Mieczysław Rakowski zauważył kiedyś, że jeśli my nie wyobędziemy na widok publiczny problemów trudnych i najtrudniej-

normach bhp. Dość wspomnieć tu działalność Spółdzielni Handlowej. W zielonych kioskach (aż dziw, że tyle ich jeszcze ocalało, choć od kilku lat Wydział Gospodarki Przestrzennej i Ochrony Środowiska Urzędu Miejskiego zdecydowanie je tępi) tempo pracy w mrozy i letnie upały z trudem wytrzymują zdrowi, a co dopiero inwalidzi. A np. „Ogniwo” zatrudnia wielu pracowników na wolnym powietrzu przy produkcji metalowych stolików, krzesel i regałów.

Są jednak spółdzielnie, np. w Tomaszowie, Bilgoraju czy Hrubieszowie, które można uznać za wzorcowe. W nowych obiektach inwalidzi znajdują odpowiednie warunki do pracy i życia. Także w Lublinie, jeszcze w tym półroczu, spółdzielnia „Zjednoczenie” otrzymała nowy zakład krawiecki dla 300 pracowników. W kilku starych, opróżnionych lokalach, powstaną zakłady usługowe, których w mieście nigdy nie było.

Mimo wielorakich trudności siedemnaście spółdzielni inwalidzkich w naszym regionie daje roczną produkcję wartości ponad miliard złotych. I zatrudnia ponad 6500 niepełnosprawnych ludzi, choć co najmniej połowa z nich mogłaby pobierać rentę.

— Jak człowiek musi, to wszystko potrafi zrobić. Ja i numer telefonu sobie wykreślę, w radioodbiorniku poszukam każdego programu, umyję się sam, zęby wyczyszczę, tylko guzików nie pozapinam. Jak w tej piosence „z głupim guzikiem kłopotów sto ma”. Do swego życia zupełnie dobrze się przystosowałem. Pamiętam, jak opuściłem Zakład dla Niewidomych w Laskach. Był problem z zatrudnieniem mnie w jakiejś

spółdzielni. Prezesi bał się wziąć do siebie takiego człowieka jak ja. I tym śmiałym człowiekiem, który się nie bał, był prezes Modest Sękowski, już nieżyjący założyciel lubelskiej Spółdzielni Niewidomych. Przyjął razem ze mną pięciu takich jak ja, niewidomych bez rąk. Wszedłem do tej spółdzielni, jak do jakiejś dobrej rodziny. Spotkałem się tu z sercem, ze zrozumieniem. Wierzyłem, że ci ludzie chcą mi pomóc, że zrobią wszystko, aby mi stworzyć życie. I dziś to życie mam. Bo i mieszkanie, i rodzinę mogłem sobie założyć. Mam żonę, córeczkę... Ale najważniejsza jest satysfakcja, że nie jestem niczym ciężarem, czuję się po prostu potrzebny.

Od lipca 1974 r. przy Regionalnym Związku Spółdzielni Inwalidów działa Wydział Usług Socjalnych. Rozpiętość kompetencji duża, bo od koordynacji i rozdzielnictwa wczasów, kolonii, sanatoriów, po prowadzenie ośrodków wypoczynkowych i budowę sanatorium kardiologicznego w Nałęczowie. Czekał inwalidzi na ten obiekt cierpliwie przez kilka lat i wreszcie w tym roku u podnóża góry Jabłuszko rozpoczęło się, na prawie półtorahektarowej działce, budowa sanatorium, które jednorazowo pomieści 130 kuracjuszy chorych na serce. Dotychczas w wynajętych domkach leczą się ich najwyżej 40, przy czym dochodzić muszą nie tylko na zabiegi, ale i na posiłki.

Ambicją RZSI jest zapewnić inwalidom możliwie najpełniejszy wypoczynek po pracy i w czasie urlopu. Ośrodek wczasowy nad Jeziorem Białym należy do jednych z najlepiej wyposażonych. Skanalizowane i radiofonizowane domki campingowe, boiska

sportowe, dużo zieleni i kwiatów. Jeszcze do pełnego komfortu brak ośrodkowi sali gimnastycznej, sauny i ogrzewanego hotelu na 100 łóżek, ale na te luksusy już jest „zaklepane” 20 milionów zł i można mieć nadzieję, że wkrótce zaczną wyrastać z ziemi fundamenty.

Projektuje się w pionie spółdzielczości inwalidzkiej na miarę potrzeb współczesności. Ostatnio wyklął się pomysł zbudowania prawie bajkowego obiektu sportowo-rekreacyjnego z krytą pływalnią, salą gimnastyczną, siłownią i hydroterapią. Wszystko to dla inwalidów, którzy tymczasem korzystają z problematycznej gościnności AOS-u i WOSTIW-u jeśli chodzi o pływalnię, a o wypoczynienie sal gimnastycznych z różnym skutkiem prosi się dyrekcje lubelskich szkół.

Tymczasem zajęcia sportowe są ważnym elementem procesu rehabilitacji. Każdy może po południu znaleźć — jeśli tylko chce — coś dla siebie. Bo odbywają się treningi siatkówki, kosmetki, ping-ponga, strzelanie z kbks-u i pistoletu. Każdej zimy wyjeżdżają grupy narciarzy do Szczyrku na obozy sportowo-rehabilitacyjne. Organizuje się wiele imprez sportowych w Polsce, za granicą. Inwalidzi z Czechosłowacji, Francji i Węgier bywają u naszych, nasi wyjeżdżają na zawody sportowe do nich.

Wieczorami czekają na chętnych kluby. Wśród nich znany wszystkim klub głuchych „Gest”. Działa przy nim jedyny w Polsce kółko literackie, którego trzon stanowią dwie poetki z Lublina — Barbara Choynowska-Janaszek i Maria Rorenberg-Piwowska. 24 lutego br. w sali MPIK-u obie panie mó-

wiły o swojej twórczości na wieczorze poezji głuchych. Nie zabrakło, oczywiście, ich wierszy umieszczonych w tomiku „Wyjście z ciszy”, wydanym przez Zarząd Główny Polskiego Związku Głuchych.

W Spółdzielni Niewidomych od dwudziestu lat sekcją szachistów kieruje Zdzisław Wojcieszyn. Jeśli wierzyć jego słowom, co drugi niewidomy gra w szachy. Zapytałam o to Ryszarda Budniaka, który jeszcze dobrze nie zagrał miejsca w spółdzielni — oczywiście już gra. Największą dumą szachistów jest to, że grają w lidze międzywojewódzkiej na równi z widzącymi. I choć już od dawna wygrywają, ciągle muszą przekonywać niedowiarków.

A Wincentego Mierzejewskiego pamiętałam z estrady. Byłam wtedy urzęczona jego recytacją. Widocznie jury kilku ogólnopolskich konkursów miało podobne zdanie, skoro znalazł się on kilkakrotnie w pierwszej trójce. Społeczne zaangażowanie Mierzejewskiego oceniono wysoko. Otrzymał ostatnio odznakę „Zasłużony dla Lubelszczyzny”. Właśnie za działalność kulturalną. O swoich zasługach mówi skromnie:

— Chciałbym z siebie coś dać innym. Bo to, że pracuję zawodowo, ważne jest dla mnie. A poprzez pracę społeczną chciałbym wyrazić jakoś wdzięczność dla tych, którzy tak wiele dla mnie zrobili.



## JÓZEF OZGA - MICHAL

### PISARZ, DZIAŁACZ PAŃSTWOWY



bardzo często, wymieniany był w gronie Polaków jeszcze walczących, jeszcze nie objętych wyzwoleniem. Szczególnie: popularność nazwiska w niczym nie ucierpiała na skutek fizycznej nieobecności jego właściciela. W ten sposób Ozga-Michalski obecny był w wielu lubelskich inicjatywach, a szczególnie tych, które dotyczyły społecznej i literackiej pracy poświęconej zagadnieniom wsi. Wkrótce też — w roku 1945 — powiększył swą popularność jako autor głośniego w swoim czasie zbiorku wierszy pt. „Oberek świętokrzyski”

Ale z odzyskaniem niepodległości, z powstaniem ludowego państwa, z wyrównaniem niesprawiedliwości dotyczącej niższe warstwy chłopskie, nie zmniejszyła się dla Ozgi-Michalskiego ilość zadań w stosunku do jego antyfaszystowskiej i antyhitlerowskiej działalności. Przeszła w inny wymiar. O ile poprzednio wyznacznikiem aktywności politycznej była energia protestu, o tyle następnie energia pracy, kierowniczej i inspirującej pracy na nowopowstających placówkach życia publicznego. Ozga staje się organizatorem organu prasowego ówczesnego Stronnictwa Ludowego „Wola Ludu”, w roku 1946 obejmuje funkcję przewodniczącego Krajowego Komitetu „Wici”, po zjednoczeniu ruchu młodzieżowego zostaje wiceprzewodniczącym Zarządu Głównego Związku Młodzieży Polskiej.

Napawa podziwem niezwykła czynność i igranie chłopska żywotność tej postaci, jak również pewien znamienny rys charakterologiczny. Mianowicie wielu pisarzy Polski Ludowej, którzy pełnili wysokie funkcje

państwowe (Putrament, Przyboś, Lee), traktowali je jako ważny społecznie i owocny dla pisarstwa, ale mimo wszystko przejściowy etap ich aktywności — inaczej Ozga. Im więcej przyjmował i spełniał obowiązków państwowych, tym obficie i skuteczniej wypowiadał się jako pisarz, jako poeta. Mamy tu owo niebywale „sprzężenie zwrotne”, w którym jedna czynność nie odbywa się „kosztem” drugiej, ale obie koegzystując, wzajemnie się wspomagają. Tak więc z rozwojem państwowości przyszyły nowe zadania. W roku 1949 Józef Ozga-Michalski zostaje sekretarzem, następnie wiceprezesem NK ZSL, w tym roku prezesem Zarządu Głównego Związku Samopomocy Chłopskiej, w roku 1952 wicemarszałkiem Sejmu. Od roku 1957 jest członkiem, a od roku 1972 zastępcą przewodniczącym Rady Państwa. We wszystkich instytucjach, gdzie pracuje, jest szczególnie aktywnym ambasadorem sprawy wsi. Jako twórca — ludowe podnosi do narodowego, jako polityk — chłopskie do państwowego.

Został odznaczony Sztandarem Pracy I klasy, Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski,

Krzyżem Grunwaldzkim III klasy, Krzyżem Partyzanckim i innymi wysokimi odznaczeniami państwowymi.

Życie tak nasycone treścią, że wystarczy nie na jedną, ale na kilka biografii, jest możliwe tylko przy niezwykle efektywnym gospodarowaniu czasem. Na takie gospodarowanie może się zdobyć tylko ktoś, kto widzi — niezależnie od dokonanych już osiągniętych — rozległy obszar zadań w przyszłości. Dzień Ozgi-Michalskiego dzieli się na trzy części. Najwcześniejsze godziny ranne przeznaczone są na twórczość pisarską, późniejszy czas — do godziny nie rzadko 20 — to praca w instytucjach państwowych, wieczór jest zapelniony lekturą. Na tzw. życie prywatne nie wiele zostaje, zresztą prywatne w sensie żywego zainteresowania jest wszystko, czemu ten polityk i poeta się poświęca.

W poezji Ozgi-Michalskiego zdumiewa ściśle określony jej rodowód, dokładnie podane jej „miejsce urodzenia”. Owszem, jest nim świat, jest nim natura, jest nim pejzaż ojczyzny w ogóle, ale sam poeta nie wzdraga się przed uściśleniem źródła swojej inspiracji twórczej. Źródłem tym jest Ziemia Świętokrzyska.

Mówi:

„Poeta po w określonej określonym nych, w akus ka, w jego i Powinien prz tego to, co w jest jego świa dy pośrednicz jedność, nowo ludźmi, kształ cjonalne i us do piękna, p ci”.

I co na to ni”. „Światow kultury śró przecież nie tematu, ani czej na odw twórczości a tak donośnie zystencjalne, racja bardzo ny znanego ty spraw, w dzieciństwie więz. W ogół humanistycz zji. Kiedy p świata widzi nie omieszka

**R**ADYKALNY ruch chłopski w latach trzydziestych miał przed sobą jedną drogę: walki przeciw faszyzacji kraju, walki z okupantem po przegranej kampanii wrześniowej 1939 roku. Znalazł się na tej drodze również jeden z najwybitniejszych polskich pisarzy współczesnych, dzisiaj znany działacz polityczny, wiceprezes NK ZSL i zastępca przewodniczącego Rady Państwa, Józef Ozga-Michalski. Urodzony 8 marca 1919 roku w Bielnie (woj. kieleckie), w roku 1936 wstąpił do ZMW RP „Wici”, za czasów okupacji redagował podziemne pisma „Znicz” i „Promień”, walczył w szeregach BCh, organizował konspiracyjną Wojewódzką Radę Narodową w Kielcach, a po wyzwoleniu został jej przewodniczącym. Zresztą lublinianie z tym nazwiskiem mieli do czynienia już w okresie „stołecznego Lublina”. Wprawdzie nie od razu się Ozga-Michalski pojawił na naszym bruku, ale słyszało się o nim

**C**O LUBIĘ najbardziej? Szczerze rozmowy z ludźmi. Chcę wiedzieć, co ludziom leży na wątrobie, z czego są zadowoleni, do czego wzdychają. Sam zresztą też szczerze mówię, co można załatwić, a czego jeszcze nie i dlaczego. Może dlatego podczas spotkań z rolnikami nigdy jakoś nie czuję, że traktują mnie tu, w województwie zamojskim, jako człowieka nowego, chociaż jestem dopiero od dziewięciu miesięcy.

Pracę na nowym stanowisku zacząłem chyba prawidłowo: od dokładnego zaznajomienia się z potrzebami i możliwościami. Wraz z całym sztabem ludzi z instancji politycznych, administracyjnych i gospodarczych. Bo przecież niczego w pojedynkę nie zdziałam, jeżeli nie będę miał oparcia w całej organizacji partyjnej, w urzędach i przedsiębiorstwach, a także wśród społeczeństwa.

W wyniku tego rozeznania sformułowaliśmy program działania, program ofensywny. Mamy na bieżącą pięcioletkę znacznie większe środki niż miał je nasz teren w ub. pięcioletce, ale ważniejsze chyba to, że — mam nadzieję — wykorzystamy je bardziej efektywnie. Chociaż na pewno wszystkich potrzeb nie zaspokoimy, bo one też zwiększają się dynamicznie.

Województwo zamojskie ma szczególnie dużo i to skomplikowanych problemów: rolnictwo, przemysł, turystyka, budownictwo mieszkaniowe, no i zabytkowe miasto. Region jest piękny, zasłużony dla polskiej oświaty i kultury, ciężko doświadczony podczas ostatniej wojny, ale dopiero teraz widać, że w wielu dziedzinach jesteśmy opóźnieni, że głośnie w całym kraju sprawa rewaloryzacji przesłoniła inne problemy.

Jesteśmy i będziemy województwem przede wszystkim rolniczym. Ale prawdą jest, że poziom produkcji rolnej w wielu dziedzinach nie może zadowalać. Jesteśmy potentatem krajowym w uprawie roślin przemysłowych — buraka cukrowego, rzepaku, chmielu, tytoniu. Co dziesiąty kilogram cukru, zjadany w Polsce pochodzi z Zamojszczyzny. Mamy cztery cukrownie, a mimo to ostatnia kampania trwała 143 dni, a powinna trwać najwyżej 100 dni, bo potem występują straty w zawartości cukru. Więc już na VII Zjeździe partii mówiłem, że trzeba u nas wybudować — niezależnie od dalszej modernizacji już istniejących — nową cukrownię o przerobie nawet 8 tys. ton buraków na dobę. Na rok bieżący mamy zakontraktowane 40 tys. ha pod uprawę buraka.

Natomiast nie bardzo udają się nam zboża i to nie wiadomo dlaczego. Mamy przecież bardzo dobrą glebę w rejonach Hrubieszowa, Tomaszowa i Zamościa, lepszą niż w dawnych województwach poznańskim czy bydgoskim. A jednak plony gorsze. U nas plony w granicach 40 kwintali z ha są sporadyczne, a powinny być powszechne, nawet wyż-

sze. Niewątpliwie są przyczyny obiektywne — poziom kultury rolnej, stopień mechanizacji itp. Doszliśmy jednak do wniosku, że są i obiektywne, które trzeba zbadać. Może trzeba będzie zastosować inne odmiany zbóż? Może inaczej uprawiać ziemię? Podobnie efektywność nawożenia jest u nas mniejsza niż w tamtych województwach. Jakiej przyczyny ekologiczne, biologiczne? O sformułowanie odpowiedzi zwróciłem się do naukowców, głównie z puławskiego Instytutu Uprawy, Nawożenia i Gleboznawstwa, a także lubelskiej Akademii Rolniczej. Chodzi nam tu zarówno o lepsze zaspokoienie potrzeb krajowych w zboże, jak również o większe dochody dobrze pracującego rolnika.

Nie mamy też najlepszych wyników w produkcji zwierzęcej. W roku ub. ilość trzody chlewnej nawet spadła, ale ostatnio jest już lepiej. Doszliśmy jednak do wniosku, że nasze województwo powinno specjalizować się przede wszystkim w hodowli bydła. Mamy dużo odpowiednich pasz, podczas gdy trzoda wymaga dużo pasz treściwych, zboża, a my chcemy i musimy produkować przede wszystkim zboże chlebowe. Produkcja trzody chlewnej nie postępuje rytmicznie, istnieją przecież tzw. cykle świńskie — okresy większej i mniejszej podaży.

Przyszłość rolnictwa leży w specjalizacji. Jaka ona będzie, zależy od warunków glebowych, klimatycznych, inwestycyjnych, no i zamilowań poszczególnych rolników. Niczego nie zdziałam na siłę, jakimś działaniem administracyjnym. Z rolnikami trzeba się dogadywać. Nasza polityka rolno-gospodarcza ma już szeroką gamę środków ekonomicznych, które są najlepszym bodźcem — kredytami inwestycyjnymi i produkcyjnymi, przydziałem materiałów budowlanych, opieką weterynaryjną, odbiorem produkcji wprost z gospodarstwa, sprzedażą maszyn itd.

W tej sytuacji trzeba z rolnikami rozmawiać po partnersku. Wywiązywać się z tego, co się przyrzekło, a równocześnie rozliczać z tego, co oni sami powinni dać.

Nie, to nie jest postępowanie wymyślone za biurkiem czy nad książką, to doświadczenie człowieka, całe życie związane z rolnictwem. Urodziłem się pod Strzyżowem na Podgórzu, ojciec miał tam wszystkiego 2 ha. W 1947 roku ukończyłem gimnazjum rolnicze, takie wtedy istniały, potem liceum rolnicze, wreszcie wyższe studia rolnicze w Charkowie. Potem przez dwa lata pracowałem w rolniczej stacji doświadczalnej, cztery w Wydziale Rolnym KW dla województwa łódzkiego, następnie przez sześć lat prezesowałem w Woj. Związku Kolek Rolniczych, a przez cztery w WZGS. Wreszcie zostałem sekretarzem organizacyjnym w tym samym KW PZPR dla województwa łódzkiego. Myślę więc, że jakoś pasuję do województwa, w którym rolnictwo odgrywa dominującą rolę. A dlaczego właśnie w Zamościu? Byłem chyba w tzw.

## LUDWIK M

### I SEKRETARZ KW PZ

kadrze rezerwowej i w chwili tworzenia nowych województw Komitet Centralny zarekomendował mnie właśnie tutaj. No tak, zapomniałem dodać, że już trzecią kadencję jestem zastępcą członka KC.

Co rodzina na przenosiny? Pewnie, Zamość to jeszcze nie Łódź, ale okolica tu piękniejsza i zdrowsza. Zona przyjechała tu ze zrozumieniem, córka jest dopiero w ósmej klasie, pełne przenosiny więc dopiero po zakończeniu roku szkolnego. Czy córka będzie studiowała rolnictwo? Jeszcze za wcześnie o tym mówić, ale potem nie będę odradzał. Lubi nauki ścisłe, podczas wyjazdów na wieś bardzo interesuje się przyrodą, pasjonuje się obserwowaniem zwierząt i ptaków.

Rewaloryzacja starego Zamościa? No tak, z daleka też się irytowałam. Teraz już wiem, jak trudna to sprawa, materiałochłonna, pracochłonna. Najważniejsza i pierwsza rzecz to jednak nie pacykowanie elewacji, ale założenie wodociągów, kanalizacji, kanałów ciepłowniczych. Brakuje kadry, sprzętu, zaplecza technicznego. Jest też dużo ślamazarności. Ale faktem jest, że sami wszystkich trudności nie pokonamy. Jeżeli cała Polska interesuje się rewaloryzacją naszego Starego Miasta, to niech chociaż część tej Polski, dwa czy trzy przedsiębiorstwa, pomoże nam. Pomagano w tych dziedzinach innym miastom, dlaczego nikt nie ma pomóc nam? Myślę jednak, że mimo wszystko na 400-lecie miasta, w 1980 roku, cały Rynek będzie gotowy.

Ale o dniu dzisiejszym także trzeba myśleć. Zapoznałem się z planem budowy drugiego, nowego centrum, opracowanym przez inż. Jedynaka. Podobnie mi się ten plan — szanuje zabytki, a równocześnie patrzy w nowoczesność. Podstawowym elementem jego realizacji jest budowa nowych mieszkań. Na bieżącą pięcioletkę limit inwestycyjny budownictwa mieszkaniowego dla całego województwa wynosi pięć tysięcy mieszkań, sądzę jednak, że wykonamy przynajmniej sześć. Z tego połowę w samym Zamościu, resztę w Hrubieszowie, Tomaszowie, Biłgor. i Szczepieszynie, a także w dwunastu gminach. Chcemy też wybudować 1400 domków jednorodzinnych na już uzbrojonych terenach. Ogólne potrzeby oceniamy obecnie na 12 tys. mieszkań, nie wszystkie jednak są najpilniejsze będą one rozwiązane w tym i w następnym planie pięcioletnim.



# SEJMU

KI

być osadzony  
świata, pod  
mieni słonecz  
tego środowis  
alnej warstwie  
ystkim brać z  
gruntownie, co  
obecną. Wte  
ni tworzy nową  
mienie między  
we więzi emon  
nowy stosunek  
sprawdliwoś-

niwersalistycz-  
eśleni kręgiem  
norskiej? A  
ani zawężenie  
ie emisji. Ra-  
nie dlatego w  
Peln" brzmią  
ologiczne i eg-  
dziła ze wib-  
odczutej stru-  
krajobrazu.  
i poeta jeszcze  
cał serdeczną  
a, ujmująca i  
ozofia tej poe-  
i o urokach  
i dotykającego,  
„Niespożytość

tego źródła przewyższa pojęcie duchowej nieśmiertelności". A więc wieczna jest — na odwrót! — materia. I to wieczna nie tylko w sensie bytowym, jako podłoże istnienia, ale również w sensie — chciałoby się rzec — podmiotu inspirującego nasze życie duchowe. Optymizm tej poezji. Nawet radość. Nie jest to naiwny witalizm wynikający z latwej aprobaty świata, lecz poczucie mocy, jaką daje związek z silnymi wzrostu, rozwoju, wiecznej odnowy. „Śmierci nie ma" — te słowa nie ko niecznie muszą być wypisane nad poezją Ozgi-Michalskiego, tkwią impli-cie w tekście każdego jego wiersza. I to zarówno w tych wcześniejszych, które są przepojone latwo uchwytnymi barwami folkloru, urody chłopskiego życia, jak i w późniejszych, w których do głosu doszedł ton zadumy i osobistej refleksji. Traktowana od tej strony twórczość tego autora wykazuje niespotykaną spoiwość. Mamy do czynienia z poetą niebywale konsekwentnym. Te słowa rzeczywiście muszą pochodzić z czegoś tak stałego jak ziemia.

Nie znaczy to jednak, że nie ma w nich elementów zaskakujących i nowatorskich. Właśnie przez to, że autor nie stara się o formalną błyskotliwość, ale o wierność opisywanemu przedmiotowi, jego określenia zdumiewają swobodą i celnością. Nie widzi się wysiłku „szlifowania", wiersz w pewnym momencie przeraża się w monolog poety jakby oczekującego odwetu ze strony swego czytelnika. Czy nie widać w tym propozycji partnerstwa w penetrowaniu obszarów doznawania? Nawet jeden z ostatnich tomów „Do najjaś-

niejszej pani", mający tyle cech — w najlepszym tego słowa znaczeniu — stylotwórczych, (nie darmo Przybóś omawiając tę poezję wspominał o Potockim), jest przecież zachętą do wynajdowania słów-kluczy, słów-komunikatów z elokwentnego monologu, którego barok ma spełniać rolę żartobliwą.

Zdumiewa filozoficzna spójność tej twórczości. I tej pracy. Zdumiewa również indywidualność. Poeta, pisarz, działacz społeczny i polityczny, obserwator życia — jest tu jedną i tą samą osobą.

Brakowałoby jednak istotnej rysy nawet w tak fragmentarycznie narysowanej sylwetce pisarza, gdyby nie wspomnieć o jego prozie, a w niej o humorze. Typy wiejskie uchwycone w krótkich gwarkach, pogwarkach, dykteryjkach przekonują takim autentyzmem, że w tekście jakbyśmy nie widzieli utworu literackiego, ale przekaz tak bezpośredni jak np. w prywatnie otrzymanym liście. A więc humor. Ale także i satyra. Tylko satyra nie druzgocąca, nie bijąca z zapamiętaniem, lecz — jeżeli tak można powiedzieć — „wyrozumiała", ośmieszająca pewne ana chronizmy dla zasugerowania lepszych i aktualniejszych postaw. Jej siłą jest język, styl, obrazowanie zaczerpnięte z bogatego arsenału doświadczeń tego pisarza, który swoim przykładem nurt chłopski wprowadził w dorzecze literatury ogólnonarodowej.

A wprowadził dzięki swemu talentowi, swej sile, pracowitości, dzięki umiejętności łączenia zajęć, z których każde wymaga innych narzędzi pracy, innej aparatury technicznej. Inaczej ten imponujący rezultat jakiego widzimy zarówno w wydanych książkach, jak i przeprowadzonych pracach społeczno-politycznych nie byłby możliwy.

My, lublinianie, mamy szczególny powód do satysfakcji w tym, że Józef Ozga-Michalski kandyduje do Sejmu z terenu województwa lubelskiego. Z. M.

szczyźnie. Dostarczymy np. cukrowniom gotowe elementy, a załogi niech sobie same wybudują domy. Aha, chciałbym jeszcze wrócić do spraw rolniczych. Znane procesy demograficzne powodują, że jest coraz więcej ziemi do przejęcia. Pierwszeństwo ma gospodarka zespołowa, ale tylko wtedy, gdy jest to ekonomicznie uzasadnione.

A przemysł? Przede wszystkim mamy rolnospożywczy. To dobrze, bo najlepiej surowiec wykorzystać na miejscu. Ale to już dzisiaj jest przemysł przestarzały, trzeba go modernizować, dając pieniądze nie na mury, ale na modernizację technologii. Klient wymaga już nie towaru w ogóle, ale dobrego, nowoczesnego wyrobu. Na samą rozbudowę i modernizację zakładów mięsnych przeznaczamy w tym planie sto milionów złotych. Ze względu na przyrodę w województwie i zabytki w samym Zamościu nie będziemy walczyli o tzw. wielki przemysł. Np. właśnie dogadaliśmy się z PAN w sprawie budowy w Zamościu zakładów wytwórczych przyrządów pomiarowych. Produkcja czysta, elegancka, no i dobrze płatna.

Mówiłem już kilka razy o pięknie naszej ziemi. To nie tylko Roztoczański Park Narodowy, ale cały region. Niestety baza, jak dotychczas, jest słaba. A chcąc czerpać dochody z turystyki, trzeba najpierw stworzyć bazę. I nie będą to już tzw. psie budki czy pawilony letnie. W Krasnobrodzie — zespół sanatoriów i domów wypoczynkowych. W Zamościu i Tomaszowie razem z Polmożbytem — duże zajazdy z hotelem, restauracją i stacją obsługi samochodów. Nowe Wojewódzkie Przedsiębiorstwo Turystyczne ma w planie kilka zajazdów turystycznych. Chcemy też wprowadzić rzecz w Zamościu nową — kwatery prywatne, zanim wybudujemy dosyć hoteli. Przeznaczony dla zagłębia wędlowego zalew pod Izbicą wykorzystamy dla celów rekreacyjnych. Dla tego wszystkiego właśnie opracowujemy plany rozwoju handlu, usług, kultury i rozrywki. Bez placówek kulturalnych i rozrywkowych nie można liczyć na większy napływ turystów.

No i jeżeli zdaję publicznie rachunek sumienia z tego, co udało się już zrobić i do czego jeszcze chciałbym się przyczynić, to na koniec sprawa kadr — we wszystkich dziedzinach, zwłaszcza technicznych. Nie wiem jeszcze dlaczego, ale wydaje mi się, że poprzednio nie było tu specjalnej atmosfery, przyciągającej ludzi. Może nawet odwrotnie — wielu w kształconych młodych ludzi osiedlało się gdzieś w Polsce, niekoniecznie w Lublinie czy Warszawie. Tę atmosferę chciałbym wszędzie możliwie najszybciej zmienić. Wiem, że każdy najpierw zapyta o mieszkanie. Zrobimy wszystko, aby było ono możliwie najszybciej. Ale nie tylko to. Chcemy dać życzliwość, pomoc, wolne pole do popisu umiejętności i ambicji, możliwości zarobku i awansu.

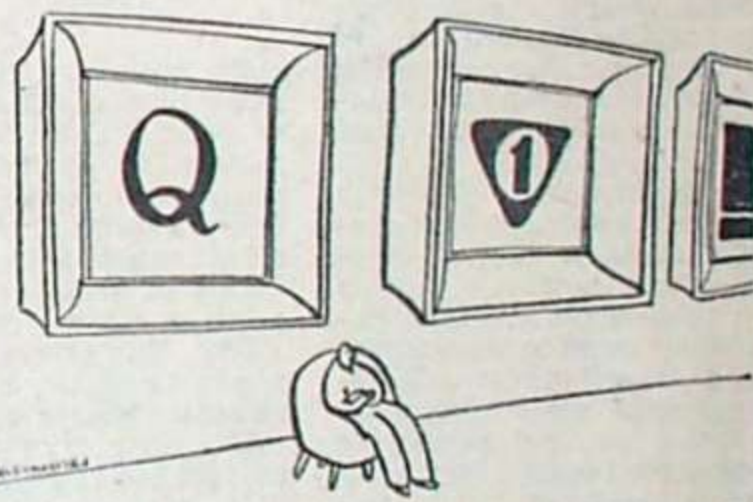
Relację z rozmowy spisał Jerzy Dostatni

# OKŁADKI -TICE SZTUKI -KI

## Ambicje...

W UBIEGŁYM roku w tzw. „Białej Sali" Miejskiego Domu Kultury w Lublinie odbyła się wystawa prac Klubu Absolwentów Wyższych Uczelni Plastycznych, istniejącego przy naszym ZPAP. Klub skupia 20 młodych ludzi, którzy przez kilka lat muszą solidnie pracować, działać, wystawiać, słowem „wykazywać się", aby zasłużyć na przyjęcie do związku. Dawniej, jeszcze kilkanaście miesięcy temu, członkiem ZPAP zostawało się automatycznie, na podstawie dyplomu ukończenia studiów. W rezultacie stowarzyszenie pęczniało, mnożyło swe szeregi, ani się spostrzeżliśmy, jak liczba jego członków przekroczyła 8 tysięcy. Mieć w kraju kilka batalionów artystów to sama radość, ale głównie dla statystyków. Prawda jest bowiem taka, że nie każdy absolwent uczelni plastycznej bywa artystą, najczęściej są to fachmani od kolorowej roboty, ludzie skądinąd pożyteczni, zacięci i godni szacunku, nie mający przecież wiele wspólnego z kreowaniem wartości, nonkonformizmem i stroniący raczej od ryzyka oraz refleksji egzystencjalnej. Te zaś momenty, jak sądzę, współtworzą osobowość artysty. Dabrze się zatem stało, że przyjęcie do ZPAP poprzedza obecnie owo terminowanie, okres sprawdzania samego siebie (który umożliwia zresztą młodzieży plastycznej całkiem przyzwoitą pracę zarobkową).

Najważniejszą przecież sprawą tego nowego układu wydaje mi się sam fakt istnienia owej grupy młodych. Można bowiem przypuszczać, że zmuszona sytuacja będzie ona



Rys. A. Chodorowski

czymś w rodzaju zdrowej konkurencji dla profesjonalistów, będzie ich prowokować, mobilizować do działań ambitniejszych i atakować pozycje starszego pokolenia. Tego rodzaju napięcie jest wyjątkowo potrzebne w lubelskim środowisku. Czy Klub już dzisiaj spełnia te oczekiwania?

Ubiegłoroczna wystawa młodych w „Białej Sali" okazała się pokazem skromnych raczej możliwości, o czym krótko pisałem, zakłopotany. W styczniu tego roku Klub ujął się po raz drugi, tym razem w dużej sali Biura Wystaw Artystycznych. To była zupełnie inna ekspozycja, skłaniająca do optymizmu większego, niż umiarkowany. Mam na uwadze przede wszystkim grafikę — dowód znacznej wyobraźni i sprawności warsztatowej.

Odkładając na później bliższe spożerzenie na poszczególne prace, chciałbym tylko zauważyć, że kilku młodych autorów spełnia wszelkie kryteria środowiskowej, twórczej prowokacji. Jeśli wstęp do katalogowej składanki uznać za wyraz poglądów tej grupy, to wypada też stwierdzić, że poza sprawnością plastyczną posiada ona coś bardzo cennego, warunkującego dalszy rozwój, a mianowicie świadomość sytuacji w sztuce dzisiejszej i potrzebę znalezienia własnego „punktu zaczepienia" w „chaosie zwalczających się nawzajem, przeciwstawnych prądów". „My, młodzi plastycy — że

zacytuje Piotra Kmiecica, komisarza wystawy — wybraliśmy jako taki właśnie punkt zaczepienia naszą sztukę, która jest dla nas swobodną i suwerenną formą poznania świata, poszukiwaniem pełniejszego i wszechstronniejszego wymiaru ludzkiej egzystencji. A nasze uczestnictwo w życiu jest z nią ściśle związane". Przyznaję, odpowiada mi takie rozumienie sztuki. Mielimy nadzieję, że w przyszłości znajdzie ono bardziej autentyczne potwierdzenie w samej twórczości niektórych przynajmniej członków Klubu.

Innego rodzaju refleksje wzbudzą pragnienia i ciągoty, ujawniające się wśród słuchaczy kierunku plastycznego Wydziału Pedagogiki i Psychologii UMCS. Zamiast marzeń o pracy nauczycielskiej, do której programowo powinien sposobić ten kierunek studiów, spora grupa marzy o byciu artystą, podniecana zresztą przez niektórych tubylców i wykładowców spoza Lublina, znanych malarzy, zasłużonych animatorów krajowego życia plastycznego. Zastugi w tej dziedzinie nie dają przecież faktycznych predyspozycji pedagogicznych, powiedziałbym, że przeciwnie.

To bardzo dobrze, że studenci uruchomili własną galerię, urządzając własne wystawy... Chcąc nauczać dzieci w szkołach kompozycji kolorystycznej czy przestrzennej, chcąc uwrażliwiać je na rzeczywistość formy i barwy, pedagog winien uprzednio własnoręcznie rozwiązać problemy, które określają tę sferę kultury. Kiedy jednak werbuje się młodzieńców do zespołu profesjonalistów, który ma projektować „inscenizację plastyczną" osiedla mieszkaniowego w ramach dużej imprezy ogólnopolskiej, to tym samym skutecznie i raz na zawsze odwraca się uwagę słuchacza studiów, było nie było, pedagogicznych, od podstawowego celu jego nauki, jakim jest dyplom, a później etat nauczyciela. Uniwersyteckie kierunki studiów plastycznych powołano dlatego, ponieważ podstawowe i średnie szkolnictwo kraju cierpi na brak wykładowców tego przedmiotu. Tymczasem w Lublinie z pedagogiki próbuje się robić akademię sztuk pięknych — po cichu, w rękawiczkach. Jest to całkowicie niezgodne z polityką resortu i z realnymi potrzebami kraju. Uczelni plastycznych mamy w Polsce wystarczającą liczbę, o czym pośrednio świadczy fakt

powołania takich np. Klubów Absolwentów. Kiedy ZPAP był nieliczny, każdego dyplomanta przyjmowano do Związku z otwartymi rękoma, z miejsca. Bywało nawet, że poszczególne okręgi kaperowały młodych malarzy...

Wspomniany wcześniej werbunek nie jest odosobnionym przykładem zagubienia na Wydziale Pedagogiki i Psychologii UMCS właściwych proporcji w procesie kształcenia nauczycieli wychowania plastycznego.

IJK

P.S. W felietonie pt. „Owocarnia" wspomniałem mimochodem, że dobrze byłoby, gdyby idea pewnej wystawy koncepcyjnej studentów wspomnianego wydziału znalazła się w polu uwagi ludzi programujących „Lubelskie Spotkania Plastyczne 76". To był błąd, choć z drugiej strony trudno wymagać ode mnie zdolności a'la Klimuszek. Cóż to jednak znaczy wobec faktu, że „Lubelskie Spotkania Plastyczne 76" kroją się jako impreza w stylu PSP (przedsiębiorstwa o niewątpliwych skądinąd zasługach). Całe szczęście, że na liście zaproszonych figurują także artyści wybitni, a co ważniejsze — szanujący siebie i swoją działalność.



# NOTATKI Z ALBIONU (II)

IDE spokojnymi uliczkami Hampstead. Przypominają trochę starą Warszawę, takie są kręte i małe. Kafajka za kafajką, gdzie można nawet dostać znośną kontynentalną kawę bez mleka. To dzielnica artystów. Ci popularniejsi mają tu swoje domki i prywatne drogi. Wypucowane na Hampstead i zabudowane. Nie walają się tu po chodnikach odpadki i nie fruują płachty gazet. Gdy stanie się na skraju tej pagórkowatej dzielnicy, widać spory kawał miasta. Jakaś inna ta część Londynu, niż wszystkie pozostałe i dlatego lubię tu spacerować.

Taksówkarze odgradzeni są od pasażerów kuloodporną szybą. Z tyłu jest fotel dla dwóch osób, naprzeciw dwa rozkładane siedzenia. Taksówki mają specjalny kształt i wszystkie są czarne, piekielnie drogie i zwrotne. Londyńczycy mówią o nich „trumny”. Płaci się po kursie podchodząc do okna kierowcy. Rozmawiać można przez szybę, jeśli kierowca zdecyduje się ją uchylić.

— Kiedy policja w Ameryce na dobre zabrała się za porządek, cały ten podziemny świat przywędrował tutaj. Jesteśmy liberalni i każdy może u nas żyć. Niewiele krajów daje takie szanse cudzoziemcom. Mnie nie obchodzi, co robi Włoch, czy Hiszpan. Niech pan pomyśli: na mojej ulicy mieszka tylko dwóch Anglików. I dobrze. Nie o to chodzi. Ale cały ten mafijny świat zrobił z Londynu nowe Chicago. Tego mam dość. W nocy przestałem jeździć.

— Szyba nie pomaga?

— To głupstwo. Teraz nie pomaga już nic.

Hotel „Hilton” to jak warszawskie „Forum”. Stoi sobie na West Endzie, w turystycznym centrum miasta, przy eleganckiej Park Lane. Mają tu apartamenty Rockefeller i Polański. Obły kształt z dziurami okien, pawilonem z frontu i brytyjską flagą na czubku. Mark Colakowski pracuje u Hiltona jako asystent menażera. Nie przypomina już sobie, kto z Kolakowskich pierwszy opuścił wioskę pod Krosnem i kiedy. Pradziada ciągnął pewnie Nowy Świat, ale na Wyspie znalazł przytulisko i tak zostali. Musiało to być dawno temu, bo wnuk już po polsku nie mówi. W porze lunchu jest jedynym z najbardziej zabieganych ludzi w mieście.

W zacisznym lobby, przy łagodnych światłach i lampce koniaku, dobrze rozmawia się o interesach. Mimo wysokich cen restauracja hotelowa zawsze jest pełna. 6 września ub. r. przed południem w redakcji popularnej wieczorówki „Evening News” zadzwonił telefon. Mężczyzna mówiący z silnym irlandzkim akcentem ostrzegł gazetę, że u Hiltona podłożono bombę. Specjalny oddział bombowy Scotland Yardu pojechał do hotelu. Gości ostrzeżono o niebezpieczeństwie przez hotelowy system radiofoniczny. Zanim padły ostatnie słowa ostrzeżenia, eksplozja wstrząsnęła budynkiem.

— Właśnie szedłem do lobby — mówi Mark — kiedy nastąpił wybuch. Gdy dym nieco się przeczadził, zobaczyłem mężczyznę na podłodze. Twarz miał zakrwawioną i przeraźliwie krzychał. Pochyliłem się, by mu pomóc. Był bez nogi. Próbowałem powstrzymać go, by nie patrzył w tamtą stronę.

Panika ogarnęła hotel, gdy tylko rozpoczęto nadawać komunikat. Ludzie wybiegali z krzykiem na ulicę. Tłum ciekawskich na Park Lane, ogrodzony policyjnym kordonem, patrzył jak wynoszą ciała: dwóch zabitych i sześćdziesięciu dwóch rannych.

Idę Hampstead, bo człowiek czuje się tu najbardziej swojsko. Nawet Ealing pełen Polaków i polskich spraw nie jest taki swój. Wiekowa izolacja Anglii, której procesy kulturowe kształtowały się w dużej mierze niezależnie od Kontynentu, odgradziła Wyspę od swojskości Europy. Rodzinne zwyczaje kształtowały się odmiennie i dla nas, Słowian, zawsze to chłodny i sztywny kraj. Myślę trochę o tym i trochę o tamtej sprawie, której rozumiem chęć tu odnaleźć.

— Świat komputerów zdegradował człowieka — mówi mi pan Blackmore, pracownik techniczny biura budowlanego w północnym Londynie. — Tech-

nika zabrała nam indywidualność. To samo reklama. Reklama zabrała nam nawet prawo wyboru. Gdy popsuje się maszyna, cała firma dostaje kręćka. Gdy odchodzi człowiek, dają mu parę funtów więcej i wiązanek kwiatów. W moim laboratorium czuję się tak mały, że boję się tej pracy. Kiedy wyjadę do miasta w strumieniu samochodów takich jak mój, znów czuję się bez znaczenia. Wtedy boję się i tego miasta. Boję się życia, które nie daje mi szans bycia sobą. Streaking to nie protest, bo co to za protest. To próba wybiegnięcia z tłumu tak, by cię dojrżeli.

Z ogromnej pląszki na rogu Caledonian Road spogląda na mnie monstrum o trzech obliczach, kościstej twarzy i oklapniętych spiczastych uszach, które stopniowo sztywnieją po każdym łyku z oszronionego kufła. Piwo Heineken odawia te części ciała, do których nie dociera inne piwo.

Przesyłki miały stempel pocztowy z Dublina. W obu były książki. Lady Onslow, sześćdziesięcioletnia dama z koneksjami u dworu, otworzyła swoją o dziewiętej wieczorem. Stempel „osobiste i poufne” podniecał ją przewidywaniem czegoś niezwykłego, na co może czekała skrycie od lat. Kiedy roz-

biega na ulicę z karabinami i zaczyna strzelać do stojącego na przysiadku. Piaskają kule o ciała i betonowe płyty chodnika. Samochód zrywa się z piskiem opon. Pięciu zabitych. W listopadzie ub. r. rząd Wilsona wydał nowy „Akt o stosunkach rasowych”.

W komunikacie radiowym nadanym do komisariatu policji zamachowcy określili siebie jako przedstawicieli Frontu Wyzwolenia Czarnych — Black Liberation Front. Wybrali najbardziej obstawioną policyjnie część miasta. Włoska knajpka „The Spaghetti House” usytuowana jest w sercu Londynu, gdzie na odcinku pół mili skupiła się większość politycznych biur Zjednoczonego Królestwa i przedstawicielstw dyplomatycznych rządów całego świata. Radziecka, amerykańska, blisko-wschodnie i główne europejskie ambasady — wszystkie pracują w tej dzielnicy. Policja zamknęła Knightsbridge od Hyde Parku do Brompton Road. Siedmiu włoskich zakładników spędziło pięć koszmarnych dni w piwnicach restauracji, pod lufami karabinów. Zamachowcy domagają się samolotu, który zabrałby ich na Jamajkę.

— Frank nie cofnie się przed niczym — mówi w studio BBC przyjaciółka

w parę miesięcy potem. — Nie potrafię wyrazić, jak bardzo cieszę się, że żyję. To był koszmarny.

Kiedy zejdziesz się ze wzgórze Hampstead, po prawej stronie ciągnie się ciemna, pusta plama, jak wylany ząb w strukturze zabudowań. To stare londyńskie wrzosowiska. Ciemne głowy drzew i gruby żywopłot przywodzą mi na myśl „Powiększenie” Antonioniego. Wychodzę z założenia, że kulturowe preferencje każdego narodu określa atmosfera, w której dany naród żyje. Sama atmosfera tego ludzkiego molocha musiała zdecydować o tym, że Anglicy, jak nikt inny, potrafili nas zastraszyć i wpiąć w kryminalną zagadkę. Stare domy z tajemnicami, wrzosowiska i parki o jednej, tłustej zieleni, żółte światła i usypiska śmieci. Chciałbym zajrzeć niewidzialny do każdego londyńskiego domu, a nauczyłbym się, czym naprawdę jest człowiek, czym może być, gdy mur chroni go przed okiem drugiego.

Doktor Tiede Herrema, holenderski przemysłowiec, właściciel małej fabryczki w irlandzkim miasteczku Limerick, też ma za sobą walkę ze strachem i niepewnością. Porywaczy wytropiła policja w małej irlandzkiej wiosce Monasterevin, czterdzieści mil od Dublina. Dwoje młodych ludzi, Eddie Gallagher i panna Marian Coyle, o których po wszystkim sam porwany powie, że to jeszcze dzieci z problemami, przez dwa tygodnie szantażowali władzę irlandzkie i angielskie o prawo wolności dla politycznych więźniów IRA. Obłączenie przypominało bardzo to że „Spaghetti House”. Mały czyszowy domek, a na piętrze wiecznie uchylone okno na w pół przysłonięte firanką. Irlandzkie siły zbrojne przysłyły z pomocą policji. W stronę domku skierowały się lufy czołgów. Teren w okolicy przypominał teraz obszar przyfrontowy z jednostką szykującą się do ataku. Mieszkańcy sąsiednich domów zostali ewakuowani. Nieruchome sylwetki policjantów i w każdej transmisyj z Dublina niepewność i obawa. Raporty prasowe i wywiady z każdym, kto w jakiś sposób ma z tą sprawą coś wspólnego. Biegają przed domkiem policjanci z krótkofalówkami. A za tym oknem sterroryzowany człowiek ma czas, by rozmyślać o życiu. Nieogolony i wychudły, mając u boku szczęśliwą żonę, udziela dziennikarzom wywiadu. Eddie i Marian zasłaniając twarze przed lufami obiektywów wędrują do więziennej karetki.

Wielki wąsaty grubas patrzy na mnie filuternie znad kufła piwa. Po każdym łyku potężnie, grubieje, aż staroświeckie, sztuczne portki omal nie pękają. Piwo Heineken...

6 grudnia wszystkie gazety przynoszą na frontowych stronach zdjęcie mężczyzny o ptasiej twarzy, z dużymi odstającymi uszami, wysokiego wzrostu i uczesanego ze staroświeckim przedziałkiem, który na balu dla pracowników poczty trzyma w ramionach szczeniaka, drobną kobiecinę w długiej sukni z jakiejś połyskliwej materii. On — pan John Matthews, lat 54, i jego żona Sheila, młodsza o rok, zostaną zaskoczeni w samym środku popołudniowej krzątania w domu. Czterech mężczyzn z twarzami w czarnych kapturach i z pistoletami w dłoniach wtargnęli do domu, by w kartotece policyjnej zapisać nową historię: obłączenie z Balcombe Street 22b.

Terrorysty domagają się bezpiecznego samochodu na lotnisko Heathrow i lotu do Irlandii. Idą święta. Policja zainstalowała druciane ogrodzenie w dalekim promieniu wokół domu. Penetruje sąsiednie kamieniczki, instaluje podsłuch. Policjanci są na dachu i w podziemiach sąsiednich budynków. I znowu czekanie przez długie niebezpieczne dni. Kiedy zakładnicy wyjdą wreszcie na wolność, będą osłabieni i w szoku. Ale wyjdą żywi. „Caly czas byliśmy pod obserwacją zamachowców. My śledziliśmy każdy ich ruch, a oni nasz. Jeden nerwowy gest i państwo Matthews nie dożyłoby świat”. Do szpitala królowa wysyła radosny telegram.

Schodzę małymi uliczkami Hampstead, by złapać autobus do domu, na północ. Mijam wygasłą fontannę, w której latem pluskają się dzieciaki, jak u nas przed Pałacem. Dla wielu gorące było to londyńskie lato i jesień. Daleki jestem od przesydy. W Londynie je się, pracuje, śpi i kocha, jak zawsze i wszędzie. Ale ostatnio częściej niż gdziekolwiek indziej na świecie terror wkracza w normalne życie ludzi. Rosnące problemy społeczne i potężniejący kryzys gospodarczy, nagle osamotnienie Anglików w nowej strukturze Europy, wieczny nierozwiązalny problem Irlandii, kryzys na rynku pracy i zmechanizowanie życia owocują bombami i napadami, gwałtem i rabunkiem, które Londyn zmieniają w miasto trudne do życia.

# DRUGIE CHICAGO

Wiesław Horabik

cięła sznurki, „Pinocchio” Walta Disney’a okazał się zegarową bombą. Lady w szoku i z uszkodzonymi dłońmi pojechała do szpitala. Młoda sekretarka centrum biurowego Alcan, kanadyjskiej firmy handlu aluminium, w swej przesyłce znalazła książkę o małżeńskiej etykietce. Wskutek wybuchu postradała palec u prawej ręki.

Idę Hampstead, bo to najwyższy punkt Londynu, nie licząc wież i biurowców. Miasto mam w dole odległe i jakby nierzeczywiste. Dziwne miasto, o którym mówi się, że jest brzydkie, a do którego wraca się, bo „coś w nim jest”. Stare piętrowe domki i brudne ulice. Skórki od owoców i tomy gazet. Murzyński chłopak z wielką szczotą usiłuje uporać się z tym pobożewiskiem. Toczy przed sobą wózek pełen odpadków. Dzieci biegną za kolorowym samochodem z lodami i pozytywką wygrywającą świąteczną melodię. Małe sklepiki pachnące mydłem i kawą, gdzie sprzedawca pyta cię o zdrowie i pogodę, i puby, londyńskie piwiarnie, w których gra się w rzutki, sączy piwo i gaworzy o życiu.

— Sytuacja ludności kolorowej staje się problemem — mówi nowy Lord Mayor Londynu. — Południowe dzielnice miasta, prawie w całości zamieszkałe przez tę ludność, mają najniższy standard życia. Mieszkania są niemal niefunkcjonalne. Brak urządzeń sanitarnych. Brud i wilgoć. Szerzy się nęcza i choroby. Rząd musi podjąć radykalne kroki, by uzdrowić sytuację w tej części miasta. Nieludzkie warunki egzystencji wpływają na wzrost przestępczości i aktów terroru w mieście. Trudna sytuacja prowokuje akty rasowej nienawiści i uprzedzeń.

Na przystanku autobusowym w północnym Londynie kilkunastu murzyńskich chłopaków dyskutuje o kolejnej porażce Arsenalu. Czekają na autobus. Kolorowe szaliki w białoczerwone pasy powiewają na wietrze. Sobotnie popołudnie. Londyńczycy pouciekali ze stolicy na weekendowy odpoczynek. Miasto wychudło, wyliniało i pograżyło się w sobotnio-niedzielnym nieróbstwie. Przed przystankiem zatrzymało się nagle nowy „ford-capri”. Trzaskają drzwi. Dwóch młodych ludzi wy-

przywódcy bandy. — Jest pełen determinacji. Jeśli nie będzie miał wyjścia, może stać się najgorsze.

To właśnie podczas tego obłączenia Scotland Yard wypracuje teorię „cierpliwości i jednoznaczności” w postępowaniu z terrorystami. Miesiąc później teoria ta zaowocuje listami gratulacyjnymi od policji innych państw. Policjanci rozmawiają z zamachowcami za pomocą przenośnego odbiornika radiowego. Ich prywatnych rozmów słuchają przez wyciąg wentylacyjny, o czym tamci nie wiedzą. Po piętnastu godzinach przed kamerami telewizyjnymi z obłączonej piwnicy wychodzi pierwszy zakładnik. Chory, stary człowiek, Alfredo Olivelli, który nie przeżyłby obłączenia. Nie może mówić. Karetka pogotowia zabiera go na syrenie do szpitala. Włoski konsul podejmuje rokowania. Pierwsze racje żywności docierają do zakładników po czterdziestu godzinach obłączenia. Terrorysty domagają się, by konsul przedstawił ich sprawę ministrowi spraw wewnętrznych, Jenkinsowi. Jeśli usłyszą w wiadomościach radiowych, że to zrobił, wypuszczą drugiego chorego zakładnika. Konsul odjeżdża do Home Office. Terrorysty otrzynują kawę i papierosy. Zaoczne konsylium lekarskie decyduje: zakładnikom nie grozi natychmiastowe niebezpieczeństwo natury chorobowej. Nieruchome sylwetki policjantów z bronią gotową do strzału. W każdym wiadomościach telewizyjnych patrzę na fronton skromnej restauracyjki, gdzie w podziemiach waży się sprawa ludzkiego życia. Coraz bardziej natarczywe żądania terrorystów spotykają się niezmiennie z odmową. „Będziemy nieustępliwi do końca” — mówi oficer prowadzący akcję.

Obłączenie wkracza w decydującą fazę. To już piąty dzień. Wczorzym dociera do nas wiadomość, że zamachowcy załamali się. Ludzkie cienie otulane kocami wędrują do karetek. Przywódca terrorystów postrzelili się. Postrzał okazuje się niegroźny. Po opatrunku on i jego ludzie powędrują do starego londyńskiego więzienia Old Beiley, by czekać na sprawiedliwość.

— Po obłączeniu interes znacznie się poprawił — powie menażer restauracji



# ODPUST

Henryk Czarnecki

**O**DPUST. Opakowany w celofanowy papierek. Tylko na odpuscie mogą smakować najgorsze cukierki. Tylko tutaj można przystroić się sznurem obwarzanków, tylko tu koraliaki mają wartość prawdziwych korali. Rzecz wygrana posiada znaczenie szczególne: trzeba mieć przecież szczęście.

Można wypróbować je tutaj. Pierścioneł z drutu, gipsowy kogutek są nie tyle wartością samą dla siebie, ile wiarą w to szczęście, którego w życiu tak mało.

Wszystko wiruje, w głowie się kręci od wszelakiego nadmiaru. Wokół skarby do osiągnięcia włącznie ze szczęściem, bo na kręconym stole nie istnieją miejsca przegrane.

Najważniejsza jest karuzela. Pęd dookoła, oderwanie od ziemi. Chociaż na chwilę. I pewność, że wysiądzie się tam, gdzie się wsiadło. Ze nie się nie zmieni na gorsze.

Karuzelowy harmonista... Jakby stworzony wyłącznie do tego celu. Plecami przyrósł do karuzeli. Przyklejony do warg niedopałek tkwi tam bez przerwy. Nieruchoma jest także harmonia. Powietrze do miechów wtacza w nie nogami. Monotonnie. Jakby udeptywał w beczce kapustę. Wszystko w nim martwe, zastygłe, ani jedno oko nie drgnie na twarzy, wpatrzony w nieistniejący punkt nad ludzkimi głowami.

Marmurowym bezruchem celebryt dzień uroczysty. Karuzela wysoka jak kościół. Dominuje nad odpustem. Nadaje mu sens. Cóż wart byłby odpust bez karuzeli. Pomieszany z muzyką gwar tworzy nastrój. Dźwięki noszą się górą, przeciskają się przez ciżbę, pomiędzy nogami...

W pobliżu straganów — Leszek. Milczący i nieruchomy. — Krycha. — Co? Nagle ożywił się trochę. — Wczorajem pójdziemy trochę poskakać. Chcesz? W remizie dziś ubaw.

Skinęła głowę. Pociągnął ją za rękę do karuzeli. Wsiadł. Harmonista naciśnął miechy. Potem zniknął im z oczu, znów się pojawił, zniknął... Trzeba strząsnąć z siebie tamte wleczozy. Nie ważą jeszcze zbyt wiele. Jedyne z Krychą coś mają. I chociaż oderwana teraz od ziemi, wystarczy nadciąść się ciałem, rozhuścić, uchwycić jej łańcuch, przyciągnąć do siebie. Kręca się razem w ograniczonej przestrzeni, nikt od nikogo uciec nie może, choć dogonić też trudno. Miał głowę, kto wymyślił karuzelę.

Okulary słoneczne potem jej kupił. Na „kreciołku” wygrał złoty pierścioneł. Trzeba go wcisnąć na palec dziewczynie. Widocznie ktoś tam na górze zadczydował za niego... Było, nie było...

— Ino go nie zgrab, bo... Spojrzała z wyrzutem. — Miałabym zgubić? Przecie od ciebie.

Blyszczy na palcu jak prawdziwy. Niewiele potrzeba słońca, by rzeczom nadać słońca i blasku. Przytula się mocniej do Leszka. — Już dawno nie byliśmy tak razem ze sobą.

— Ano jakoś nie wychodziło... Żniwa... Wszystkie łańce stopiły się teraz w uśmiech, słońce przegania z nieba resztki chmur.

Kupili na straganie kielbasę, bułki, do kieszeni wcisnął butelkę piwa. Wyszł z tłumem nad jezioro, usiedli na trawie. Z Anią tak przecież by nie mógł. Z piętem kielbasy w garści, z butelką piwa.

Rozluźnił krawat. — Nad wodą, a jakoś gorąco. — Bo wiatr w tamtą stronę. Do wody.

Spojrzał na nią uważnie. — A wiesz, że pewnie masz rację.

Przeszli na groblę na drugą stronę jeziora. Zdjął marynarkę, powiesił ją przez ramię.

— Gorąco. Skinęła głowę. Rzeczywiście gorąco. A tak jej było dotąd nijako.

— Czemu nie mówisz, ino kiwasz głową? Czyś to ty gorsza od innych?

Plecami się oparł o wierzbę, popatrzył na wodę. — Wykapiesz się?

Na policzki spłynęła gorączka, dłonie zaczęły się pocić. Wykąpać się? Teraz?

Spuściła oczy. — Nie mam, Leszek, kostiumu. — No to co? Majtki masz przecież, a tego od góry nie musisz się wstydzć.

— Ale ... tak przecież nie można. — Dlaczego? — Bo odpust.

— To co? Tutaj nikogo nie ma. Nikt nie zobaczy. — Ale ja mówię, że odpust.

Zrozumiał. Dzwony tu słychać z daleka. Maszeruje procesja. Na oknach karbowana bibułka.

— Ano, jak sobie uważasz. Ja się wykąpie.

Zdjął buty, koszulę, spodnie złożył starannie w kancik, pobiegł do wody.

Przyjemnie. Woda czysta i rześka. Krycha pewnie moczy nogi przy brzegu... Zanurzył się głębiej, rzucił się miękko na wodę, szeroko rozgarnął ją ramionami.

Kiedys z Anią tak pływał. Daleko. Aż na środek jeziora.

Usłyszał szelest za sobą. Potem chlupnęło głośniejsze. Ogląda się. Krycha w halce wchodzi do wody. Idzie do niego. Woda sięga jej piersi... Żeby nie złościł się, że odmówiła. Taki dziś dobry. Dał jej pierścioneł.

— Krycha! Idzie powoli szczęśliwa, im bliżej Leszka, tym bardziej kryje ją woda, wstydzić już się nie musi; unosi się lekko na palcach. Mogłaby tak iść teraz bez końca, coś ogarnia ją całą niby ta woda, nie czuje własnego ciężaru...

— Chodź, popłyniemy! — krzyknął, płynąc w kierunku jeziora.

Stała, gdy woda sięgała jej ust. Przestraszyła się nagle. Zapatrzona w Leszka, nie myślała o sobie. Cofa nogę. Nie może. Opór wody obywatnia jej ruchy. Pcha coraz bardziej na głębię.

— Leszek! Dał nurka, żeby go woda ogarnęła całego. Nadmiar powietrza rozpycha piersi, więc może tak długo, lekko, przy samym dnie, dotykając palcami płasku, by znów jedynym, silnym wyrzutem nóg znaleźć się na powierzchni.

— Leszek! Zawrócił. Wolno płył w jej stronę. Patrzy jak Krycha stoi tak nieruchomo z brodą zadartą do góry.

— No, czego tak stoisz i stoisz? Poruszyła ustami i nagle umilkła w połowie słowa.

Zrozumiał. Jednym wyrzutem rąk znalazł się przy niej. Objęła go mocno za szyję, przylgnęła kurczowo. Nie umiem pływać — przeprasza go szentem za ten gest niespodziany.

Pomógł jej wyliść na mieliznę. — To po co włazisz aż tak daleko?

Mocniej przylgnęła do jego ramienia, spogląda w oczy, nie ma już nic do ukrycia. Halka oblepia jej piersi.

— Sciągaj to wszystko ze siebie. Wyglądasz jak zmokła kura. Zmartwiła się Tak bardzo chciała mu się przecież podobać.

— No! Chcesz się przyciągnąć? Słońce weszło na chwilę za chmurę, od jeziora wiatr powiał. Krycha trzęsie się z zimna i wstydu.

— To odwróć się trochę. Od strony odpustu huczają wciąż dzwony. Z tyłu rozbiiera się Krycha. Słońce znów wyjrzało zza chmury. Gorąco ogarnia Leszka całego. Obierztał się, krzyknęła, pobiegł do niej...

Leży teraz przykryta jego marynarką. Poglądał ją lekko po twarzy.

— Krycha. — Co? — A nie zostało coś w słatce, żeby sobie przetrząść? Bo ja, to wiesz, lubię...

Nogą przyciągnęła siatkę, wyjęła kawałek kielbasy, bułkę, podała Leszkowi z uśmiechem. Jak gospodyni.

Fala tkliwości ogarnęła chłopaka. Zjadł, dłonią wytarł usta, objął ją mocno, wtulił jej się pod pachę i usnął znużony.

Z trudem znaleźli dwa wolne miejsca przy stole. Zapach serdelków z musztardą wala się po brudnym obrusie, w drugiej sali orkiestra rżnie z przytupem walczyka.

Przytnął ęwiartkę, przegryźli serdelkiem, pociągnął Krychę za rękaw.

— Chodź, wywinjemy. Nagle ktoś zastąpił im drogę.

— Cześć, Leszek. Kope lat...! Leszek zatrzymał się z niechęcią.

— To ty, Mietek? — Chodź, stary. Trzeba to podlać. — Jestem z kobietą.

— Nie szkodzi. Dla kobiety też starczy.

Przesiedzieli z nim ęwiartkę i jeszcze następną. Mietek mógłby tak jeszcze, ale Leszkowi się śpieszy. Nie po to przecież plać za bilet, żeby tylko siedzieć za stołem.

Weszli na salę. Wziął Krychę za rękę, przyciągnął. Znowu mu swójsko jak dawniej. Okna szeroko ot-

— Nie bujasz? I wtedy na sali zobaczył Anię. Mignęła mu przed oczami, zawirowała. Przeciężera powieki: aż tak się upił, czy co? Nie. Chyba mu się tylko zdawało. Skąd by tu Ania.

Po chwili zobaczył Wiesiekę, potem znów Zosię... To niemożliwe. Czuję, że trzymam teraz obcą dziewczynę. Ze złością patrzy na Krychę. I na to, co dzisiaj razem przeżyli. Coś siekło go z tą kąpielą. Nie było przecież tak znowu gorąco, by się musiał studzić w jeziorze. Mogli przejść się kawałek, zamoczyć nogi i cześć. Wtedy by pewnie nie było tego tam... Karuzela, pierścioneł — diabli nadali to wszystko...

No tak. Nudziły się pewnie. Ania taka ciekawa wszystkiego. Przyszyło zobaczyć wieś od podszewki, rozzerwać się trochę, ktoś podszedł, poprosił i...

— No co? Nie umiesz w lewo? Potknęła się. Zawsze tańczyli tylko w prawo. Chwyciła go mocniej za ramię. Pewnie Leszek ma rację: przecież nie można wciąż w jedną stronę. Żeby tylko znów nie poplątały się nogi.

— Nie trzymaj tak mocno, bo niewygodnie. Jakby szafę przesuwiał, albo i gorzej. Po diabla ją tutaj przytąszczył? Nawet się nie pchał w te trawy. Samo tak jakoś wypadło. Niczego z nią nie planował.

— O Jezu! Znowu nadeptałeś! Do polowy zabawy jeszcze daleko. Jak z nią wytrzyma tutaj do końca? Ręce i nogi urobi. Orkiestra także nawala: gdy nie potrzeba, to ciągle są przerwy, a teraz grają jednego po drugim. Ale on przecież nie musi. Najwyżej do końca tego kawałka.

Jeszcze harmonista nie odłożył dobrze harmonii, a już taszczy Krychę do stołu z powrotem. Gdyby tak z Anią mógł teraz... A może coś da się wykombinow-ć?

— Czemu Mietek nie tańczysz? Tamten kiwnął się nad kuflem piwa.

— Mówisz, nie tańczę?... Rzeczywiście. Pewnie dlatego, że jestem sam.

Leszek się niemal oburzył. — A ma? Przecie możesz z Krychą zatańczyć.

Mietek umoczył usta w piwie. — Chyba bym mógł, dlaczego nie. — No to proś Krychę zaraz do tańca. Na co czekasz?

— Rzeczywiście — poderwał się z miejsca, potem nagle usiadł z powrotem. — Ino, że jeszcze nie grają.

— To będą. Spokojna głowa. Poczeka! Pójdę zobaczyć. Człowiek plać, a oni jak z taski.

Pobiegł na salę; stoją przy oknie. Jak kiedyś, we trzy. Póki nie zrobił w tej trójce wyłomu. Więc jednak... Coś mu się wtedy udało. Teraz dopiero to zauważył. Gdy zobaczył je znów razem.

Świat zmniejszył się znowu do rozmiarów tej sali. Wystarczy tylko rękę wyciągnąć.

Uklonił się, poprosił Anię do tańca.

— Przecieć jeszcze nie grają. No tak. A cały czas wydawało mu się, że słyszy muzykę. Widocznie były to dźwięki jeszcze z tamtej zabawy. Ale to nic, że się pośpieszył. Przynajmniej teraz już nikt mu jej tutaj nie porwie. Kocha ją przecież. Od dawna. Od tamtej chwili, gdy po raz pierwszy zobaczył ją na przystanku. Zawsze ją kochał. To za nią tęsknił, choć nigdy jej przedtem nie widział. Dlatego lubił spoglądać do góry. Gdyby nie zjawiła się Ania w jego życiu — i tak by wyglądał za nią oknem, szukał jej w sadzie, na drzewach. Zaraz musi jej o tym powiedzieć. O wszystkim.

Słucha go z uśmiechem, gdy nieporadnie uktada to w zdania. Nikt tak dotychczas do niej nie mówił.

— Ty nie wiesz, ty nic nie wiesz, ale ja też przecież nic nie wiedziałem. Ino to, że było mi dobrze. Bo tego nie można zrozumieć — mów, nie patrzaj jej w oczy. — Ja prosty chłopak, a ty studentka, no nie?... Ale ja przecież niczego nie chciałem od ciebie... Ino tak sobie. Bez celu...

— Czy nie za dużo sobie wypiteś? — śmieje się Ania.



Rys. E. Inglot



# Pean o szkole

**Z**YGMUNTA Mikulskiego czytelnik znał do tej pory jako poetę i publicystę. Tym razem lubelski pisarz sprezentował nam tom osobistych wspomnień zatytułowany „Tamten Lublin”<sup>\*)</sup>. Wyjaśnijmy od ręki, że „tamten” oznacza Lublin okresu dzieciństwa i młodości autora, zakończonego cezurą roku 1939. Cezura ta zresztą wcale się nie wiąże z pamiętnymi wydarzeniami historycznymi tamtego roku, ale z raczej zwykłym przypadkiem uzyskania przez Mikulskiego świadectwa dojrzałości. I już to przypadkowe zestawienie wydarzeń zwykłych i nadzwyczajnych, z niekorzystną dla tych ostatnich, równie przypadkowo określa filozoficzną postawę zajmowaną przez pisarza wobec świata, do czego jeszcze powrócę później.

Tytuł książki jest trochę zwodniczy. No, bo przecież Lublin posiada swoje tradycyjne wyznaczniki, z Bramą Krakowską, Zamkiem, Starym Miastem i Saskim Ogrodem na czele, a jeśli chodzi o „tamten” to chyba jeszcze z ul. Lubartowską, Jeszybotem i targiem przy ówczesnej ul. Świętoduskiej. Tymczasem u Mikulskiego te wyznaczniki są prawie nieobecne, co miłośnik wizualnej tradycji miasta może odczuć jako zawód.

Lublin Mikulskiego wyznacza właściwie trasa z Dziesiątej, przez Plac Bychawski i ówczesną ul. Bernardyńską, do gimnazjum im. Staszica, do którego późniejsza trasa wiodła przez Nową Drogę i ul. Chopina (nazwę tej ostatniej autor konsekwentnie podaje w brzmieniu fonetycznym). Jest to więc w sumie fragment miasta ani nie najważniejszy, ani reprezentatywny. A jednak okazuje się, że i na tym wycinku Lublin zawierał tyle nadzwyczajności, że czytanie o nich przyprawia o wzruszenie. Ale to już dzięki autorowi, który swoje lubelskie trasy pilnie obserwował i autentycznie przeżywał. Dlatego, czy opisuje „pchli targ”, czy uroki ulicy Chopina, wspomnienie tych miejsc powraca do czytelnika z niezmałą świeżością. Przy czym tego najlepiej tłumaczy sam autor, pisząc: „Nie, nie podbarwiam późniejszymi doznaniemiasma poprzed-

nio przeżytych wydarzeń. Ich opis ma się odznaczać przede wszystkim wiernością swemu przedmiotowi...” I dotrzymuje słowa. Nie powinien więc czuć zawodu czytelnik zamilowany w minionym obrazie miasta.

Punktem wyjściowym Lublina Mikulskiego jest jego rodzinny dom, końcowym — szkoła im. Staszica. Nie jest to jednak szkoła, jak inne, ale Szkoła Wspaniała — coś jakby Wszechnica Jagiellońska i Sorbona w jednym sub-



Fot. A. Gauda

limacie. Jej nauczyciele nie należą do śmiertelnych, są co najmniej zastępcami bogów Olimpu, którzy wobec swych uczniów spełniają postannictwo prometejskie. Nawet pedle, woźni gimnazjalni, noszą w sobie prometejskie znamiona.

Krótko mówiąc, ostatnia książka Mikulskiego jest peanem na cześć gimnazjum im. Staszica. Z całą pewnością każda szkoła życzyłaby sobie takiego świadectwa jej historii. A przecież nie ma w „Tamnym Lublinie” ani cienia

szkolnego szowinizmu — każdy styk z uczniami innych szkół lubelskich autor notuje z uznaniem dla uczniów i szkół z których pochodzili. Słuszna to postawa, gdyż adeptki każdej z ówczesnych szkół lubelskich równym sentymentem i szacunkiem darzyli swoje uczelnie. (Swoją drogą czuję jakiś żal, że nasze obecne szkoły nie cieszą się u młodzieży podobnym autorytetem, ale nie tu miejsce na omawianie tego problemu).

Autorowi — według jego twierdzenia — trafiła się gratka w postaci świetnego towarzystwa uczniowskiego, w którym rej wodzili główni dzisiaj w Polsce — Pleśniarowicz i Kalużyński oraz zapoznany poeta Hanzel. Sobie natomiast wyznacza w tej grupie miejsce nader skromne — profana-adoratora przypadkiem przyklejonego do „pro-

rzeczywiście nadzwyczajne wydarzenia poetyckie na gruncie Lublina. Od czasu do czasu autorowi zdarza się też popadać w dywagacje na temat teorii literatury, o ile taka w ogóle istnieje. Są to rozważania doskonałej próby — obojętnie kojarzą mi się ze słowami Norwida, który uczył, że „sztuka czytania nie polega na umiejętności rozpoznawania liter oraz słów i zdań z nich złożonych, ale na tym, żeby umieć odezwać wszystkie tak, jak jest napisane.” I myślę, że ten dezyderat u obydwo odnosi się bardziej do krytyków literackich i redaktorów wydawnictw, niż do szeregowego czytelnika.

Książka Mikulskiego wcale nie należy do łatwych. Język autora jest świeży, ale z wyraźnymi cechami minionej tradycji. Najlepszej, tej z Boileau, u którego „w prawdziwej literaturze słowa nie raz dziwią się, że się znalazły w swoim towarzystwie”, ale minionej. Do tego Mikulski lubi „izmy” i to same najtrudniejsze. Jego stylizacja jest imponująco czysta, ale woli alegorię od porównania, a często przybiera formę skomplikowanych okresów. Tylko, że nie chciałbym u Mikulskiego czytać niczego napisanego inaczej.

Wbrew pozorom (czasokres dzieciństwa) pierwsze strony książki nastroczają w lekturze nieco trudności. Autor daje w nich jednak klucz do samego siebie, ukazuje swój sposób odczuwania świata, ten sam, który cechuje go po dzień dzisiejszy. Nie łatwo wyjaśnić na czym ten fenomen polega, mnie bardziej kojarzy się z metodą pisarską Faulknera, który wyraźnie lubi stylizację i obrazowaniem utrudniać lekturę swoich książek. Chyba i w tym wypadku Mikulski daje wyraz swej specyficznej filozofii.

Na wstępie napisałem, że Zygmunt Mikulski sprezentował tym razem tom literatury wspomnieniowej. Jest to kwalifikacja umowna, gdyż bardziej czuję tę książkę jako literaturę sensu stricte piękną. Natomiast dla Lublina będzie ona ważnym zapisem jego niektórych tradycji. Tym bardziej będzie nim dla szkoły im. Staszica.

Leszek Siemion

<sup>\*)</sup> Zygmunt Mikulski — „Tamten Lublin”. Wydawnictwo Lubelskie Lublin 1975. Stron 227, cena 30 zł.

Dokończenie ze str. 11

Trzy ćwiartki. Jak Boga jedyne go kocham. We trzech.

Ocknął się. W sąsiedniej sali czeka Krycha. Raz zatańczyła z Mietkiem, potem nie dostrzegł jej wśród tańczących. Albo Mietek nagle zeszywniał, albo Krycha słyszy gdzieś deszcz. W deszcz przecież zawsze jej smutno.

W oberku jednak nie można było powiedzieć wszystkiego. Zbyt szybko się toczy. A tyle ma jej dziś tego, że na plecach by nie uniósł. Nazbierało się.

Gdyby zagrali tak tango. Ale zawsze miał pecha.

Skończył się taniec. Odprowadził Anię pod okno.

— Poczekasz? Niezadługo tu wrócę.

Krycha siedzi nieruchomo przy stole. Mietek drzemie nad kuflem piwa.

— Dlaczego nie tańczycie?

Dźwignął głowę.

— Mówisz, że nie tańczymy?...

Rzeczywiście. Krycha! Dlaczego my nie tańczymy?

Wzruszyła ramionami. Mietek pociągnął łyk piwa.

— No widzisz. Ona nie wie, to niby skąd ja mam wiedzieć.

Osunął się głębiej na krzesło.

Krycha wzruszyła znów ramionami.

— Spół się jak wieprzak.

— Tylko nie wieprzak — wybelkotał, nie poruszając nawet ustami.

— U wuja jestem pod Nowym Targiem. Koło Zakopanego.

— Długo ciebie nie było — Krycha spojrzęła na Leszka bez żalu, choć smutno.

— Znajomych spotkałem.

Podsunała mu szklankę z herbatą.

— Zimna. Nie lubię. Herbatka musi być zawsze gorąca.

— Przynieść ci drugą?

Przytrzymał ją za rękę.

— Zostań.

— Trzy tańce ciebie nie było.

Zachnął się.

— Nie trzy, ino dwa. Bo trzeciego grali bez przerwy do kupy z drugim.

Przypomniał sobie, że widziała go z Anią. Musiała go widzieć.

— A na zabawie to wszyscy razem się bawia — wyjaśnił na wszelki wypadek.

— Przecież ja wiem — szepnęła.

— Tak już jest w mieście.

Wolałby, żeby zrobiła mu awanturę. Wtedy wszystko byłoby proste. A ona tylko tak sobie. Cichutko.

Jakby mówiła o innych. Albo skarżyła się, że noga ją boli.

Nie. Musi coś zrobić. Natychmiast.

Mietek odpada. Zresztą żadne doskakiwanie tam nie rozwiązuje problemu. Nie wypuści już Ani. Stało się.

Najgorsze powiedział. Teraz to tylko jeszcze rozwinąć.

— Chodź, Krycha. Idziemy — zdecydował stanowczo.

— Na tango?

— Do domu.

Przyjrzała mu się uważnie.

— A po co?

— Głowa mnie boli... Nie wiem.

Pewnie zaszkodziła mi wódka. Albo i te serdelki.

Wsiadł na motor. Objęła go mocno, żeby nie zlecieć. Nigdy nie ruszał tak ostro. Ale przyjemnie się przytulić. Poczuc znajomy wiatr na skroniach. Daleki od dusznej remizy. Dopiero tutaj czuje się bezpiecznie. Na otwartej przestrzeni. Dom niedaleko, za domem sad, miedza...

mienistych”. Dlatego chyba prawie całkowicie ignoruje przyczyny, dzięki którym sam znajdował się wszędzie, gdzie lubelska młodzież szkolna usiłowała działać twórczo. Jest to z pewnością wyraz tej samej jego postawy filozoficznej, której regułą zdaje się być stoicka kontemplacja życia. Nawet wbrew życiowym faktom.

Wszystkiemu, o czym Mikulski pisze, towarzyszy niezmiennie zainteresowanie poezją. Przekazuje to zresztą w sposób uroczy, przypominając niektóre

## ODPUST

Wiatr zdmuchnął sukienkę z kolan. Odsłonił uda. Szkoda, że ciemno i Leszek nie widzi. Już teraz nie będzie się wstydzić. Do domu nie musi się śpieszyć. Wyszedł wcześniej z zabawy — ich sprawa. Pochodzą trochę przy domu, może jabłka są jeszcze na drzewie... Ciekawe, czy po ciemku odnajdą to miejsce na miedzy.

Zahamował raptownie. Weisnęło ją w niego. Przymurowało do pleców.

Zeskoczyła zwinnie. Leszek nie schodzi jednak z motoru.

— Nie odprowadzisz?

Wciąż kręci rączką od gazu.

— Jesteśmy przecież pod twoim domem.

Nie rozumie go jeszcze.

— Możemy przejść się kawalek.

— Mówiłem przecie, że leb mi pęka.

— Na powietrzu prędzej ci przejdzie.

— Nie, nie — zaprzeczył gwałtownie. — Lepiej mi się będzie do łóżka położyć.

Podeszła bliżej do niego, oparła dłoń na kierownicy, dotknęła jego ręki jakby niechcący. Nie można zresztą inaczej, bo Leszek trzyma palce na wyciągniętym sprzęgle. Bieg jest włączony, motor na obrotach, tylko palce puścić i...

— Leszek! Powiedz, co się stało.

— Coś jej nagle zaczyna się nie zgadzać w tym wszystkim.

— Nie się nie stało.

— Powiedz! Pogniewałeś się na mnie o co?

— Co bym się miał pogniewać. Poruszył manetką gazu. Motor głośniejszawarzał.

— Zostań tu trochę. Smutno mi jakoś.

— Ty się też połóż, odpocznij. Cały dzień przecie na nogach.

Krycha czuje, że dzień rwie się jej teraz na strzępy. Karuzela, pierścionek, jezioro. Woda pcha się do ust, ogarnia, nie może poruszyć nogą do tyłu. Koniec.

— Leszek!

— Co?

W połowie myśli się zatrzymała. Trudno wydobyć coś z siebie. Przebić się przez narastający warkot motoru, ułożyć to w słowa. Może rzeczywiście nie się nie stało.

— No? — niecierpliwi się Leszek.

— Już nie.

Ucieszył się.

— No to już jadę. We wtorek znów wpadnę. Albo we czwartek.

Chyba żeby coś tam mi w domu wypadło.

Nie pocałował jej nawet. Zakotłowało się pod tylnym kołem, położył motor na boku, w miejscu zakręcił.

Z powrotem do remizy jest bliżej niż stamtąd tutaj.

Dziw, że nie wysypał się gdzieś na ścieżce, tak rwał do przodu. Ale nie zastał już Ani. Podobno wyszły przed chwilą.

Wyskoczył z sali, kopnął starter motoru. Musi je jeszcze dogonić, bo jutro zabraknie już słów. Dzisiejsze, luźne, bez ładu i składu, których jeszcze połowę w tańcu pogubił, jutro będą wyglądać żałośnie.

Przez tę ostatnią ćwiartkę, którą Mietek wyciągnął z kieszeni.

Stanął naprzeciw jej domu, lekko dodał gazu. Silny strumień z reflektora oświetlił szyby.

Potem wyłączył motor, poczekał — nikt nie wyszedł przed dom.

Henryk Czarnecki

Fragment powieści „Daleko od szosy”



# Czytam Sandauera

Dokończenie ze str. 1

sprawczym w procesie rozwoju literatury. Wyobraźmy sobie, że Skamander nie istniał. Czy ubyłby przez to polskiej poezji „Karmazynowy poemat”, „Spiewająca załoga”, „Czyhanie na Boga”, albo jakakolwiek rzecz, która jej jest?

A czy nie istnieją prądy dzisiaj? Bogać tam. Toż uszy puchną od postawangardy, pokolenia 56, pokolenia „Współczesności”, Orientacji „Hybrydy”, grupy „Teraz”, ligwizmu, konstruktywizmu, w końcu chyba „nabuchodonozoryzmu” (Gałczyński). Albo są, a wtedy nie mówimy, że nie ma, albo nie ma i wtedy nie pobrażujemy w te nie dające ognia podkóweczki w ciągle tym samym krytycznym krakowiaku. Zresztą wcale nie ważne, czy są prądy. Ważne, czy jest poezja. Jeśli jej nie ma, postulat „stworzyć prąd” nie tylko niczem nie służy, ale w dodatku brzmi jak wezwanie do czynności, za pomocą której Galvani „ożywił” żabę. Galwanizowany trup rzeczywiście wykonuje pewne ruchy i, jeśli o nie chodzi, wszystko jest w porządku. Albo miejmy śmiałość powiedzieć, że poezji nie ma, wtedy nie przystępujemy do omawiania jej jako istniejącej. Bo w artykule Sandauera czytam, że bez prądów nie ma literatury, a aktualnie mechanizm prądotwórczy znajduje się w awarii, po czym dowiadujemy się, że istnieje ni mniej ni więcej, tylko arcydzieło w postaci utworu Herberta „Apollo i Marsjasz”. To po diabła nam prądy, jeśli i bez nich dochodzi do arcydzieł?

Oto operowanie makietami zjawisk literackich. Zajmowanie się nie materia twórczości, ale jej przystrajaniem w lustrze krytyki. Konwenans dobrego, to znaczy zaciekawiającego myślenia. Literatura jako plansza dla gimnastyki akrobatycznej (co nie znaczy, że sami twórcy owej gimnastyki nie uprawiają). Kiedy wreszcie zjawi się krytyk, na którego oceny nie wywrze wpływu „intelektualna”, profesjonalnie-klerkowska atmosfera życia literackiego, ani sam owej atmosfery nie będzie wytwarzal?

Sandauer lubi być Alleschelmalmier. Tak mówił się o Kancie. Wszeczmiażdżyciel. Uderzyć w jakieś pojęcie dość mocno w świadomości środowiskowej ugruntowane. Nawet jeśli nie pęknie, sam dźwięk uderzenia będzie głosem dzwonu na cześć „mającego odwagę posiadania własnej indywidualności”. Np. z widocznym sarkazmem cytuję określenia odnoszące się do poezji Herberta, umieszczone na okładce „czytelnikowskiego” wyboru jego wierszy z roku 1973. Ze „krąg kultury Morza Śródziemnego”, że „scalanie doświadczeń współczesnych z doświadczeniami historii”, że „ukazywanie centralnego miejsca człowieka w dramacie, któremu na imię życie”. Gdzie tu inkryminowana „niewyraźność”? Gdzie pomyłka? Może i nie rewelacja krytyczno-literacka, trudno o taką na okładce, ale też do wystrzału z grubej berty żaden powód. Proszę napisać inaczej mając do dyspozycji kilkanaście wierszy notacji o określonym — informacja wydawcy — przeznaczeniu. W dodatku studium Sandauera żadnego z tych określeń nie podważa.

Jeszcze jeden przykład na przesuwanie akcentów stosownie do apriorycznie wykoncypowanej tezy. Sandauer mówi, że turpiści zareagowali na atak Przybosa dlatego, że chcieli utrzymać fikcję jedynomyślności, a przybosiowe wyodrębnienie czyniło z nich dysydentów. Są tu dwa odstępstwa od rzeczywistości. Pierwsze — żadnemu z zaatakowanych nie zależało na roztopieniu się w szarej masie szeregowych układaczy wersów, a raczej na odwrot,

każdy rad był zyskać na popularności korzystając z tego, że atmosfera skandaliku dawała ku temu niebywałą sposobność; drugie — wystąpili przeciw Przybosiowi nie dlatego, że ten uczynił z nich dysydentów, lecz dlatego, że zderzował ich osiągnięcia w kategoriach artystycznych. Pamiętamy wyraźnie: „wasz pegaz-szczur sparszywił”. Tego nie mogli przełknąć, a nie tego, że się ich bądź co bądź wyróżnia. Sandauer — świadek wydarzeń literackich — doskonale o tym wie, nie zawsze jednak tę wiedzę uwzględnił Sandauer-Prokrust.

Wreszcie obrazek stosunków literackich, jaki przy okazji zmieścił się w panoramie szkicu, bynajmniej nie ujmuje czystością obyczajów. Chodzi o czasownik „wprowadzać”. Drozdowski wprowadził Przybosa, Harasymowicza Jastrun, Białoszewskiego Sandauer, Herberta Błóski, Czyżca Fiaszen. Qu'est ce que c'est? Czy nie coś w rodzaju protekcji? Nie biorę tu pod uwagę wartości „wprowadzonych”, ale czy samo zjawisko nie nastrocza tu niejakich wątpliwości? To nie wystarczy mieć talent, czyli coś do powiedzenia, ale potrzeba jeszcze znaleźć protektora? Sama wartość jako wartość nie awansuje? Awansuje dopiero z żyra, z poręki? I to jest właściwy układ stosunków literackich? Rozwiązał mi się worek z pytaniami, ale bo też jest o co pytać. Nie spadłem z księżycą, ale jeśli sami krytycy nie walczą o to, „by okoliło nas tak czyste powietrze”, o którym mówił Norwid, to cóż narzekać na deformowanie opinii? Tym bardziej, kiedy są one często wyrazem nie kryteriów, ale lobby.

I jeszcze jedno. O Herbercie napisano sporo. To wszystko jednak dla Sandauera „niewyraźne”. Wniosek: za wyraźne uznaje dopiero to, co sam napisał. Można i tak.

Zygmunt Mikulski

P. S. Dla ścisłości sprostujemy, że Marsjasz nie był satyrem, lecz sylenem i to jeszcze tym jõesko-frygijskim. Szczegółik dostarcza satysfakcji płynącej z tego, że Apollo, czyli bóg, w grze na fletni konkurował z pół-koniem.

## POD PARAGRAFEM

### Rozbój

DWAJ chłopcy pobłądzili skądś. Jerzy — lat 19, i Krzysztof — lat 17. Latem ubiegłego roku zapukali do drzwi drewnianej budy, gdzie mieszkała samotnie 75-letnia, niemrawa staruszka, która wpuściła ich tylko dlatego, że Jerzy, trzymając w ręku skórzaną torbę, udawał histonosa. Jeden obalił kobietę, zatkał jej usta i oczy, a drugi tymczasem zagarnął pieniądze z szuflady. Staruszka powiada, że było tego 10 tysięcy, złodzieje — że tylko dwa. W każdym razie zbiegli, podziękowali się forszą i szła! Sledztwo zostało umorzone z powodu niemożności wykrycia sprawców. Wprawdzie działali w biały dzień, ale staruszka nie zapamiętała ich postaci a świadków nie było wcale.

Pora powiedzieć słów parę o starszym chłopaku. Pochodzi ze wsi, z rodziny chłopskiej. Uczył się w mieście — w przykładowej zasadniczej szkole metalowej, gdzie miał wyniki bardzo dobre, a sprawowanie wyróżniające. Skończył szkołę i zaczął pracować w tym zakładzie, który go wyuczył na ślusarza. Napadu na staruszkę dokonał podczas swego urlopu w sierpniu. We wrześniu porzucił pracę i po awanturze z ojcem-rolnikiem został wywalony z domu, tak że ostatecznie poszukał sobie stancji w mieście. Początkowo nawet podjął pracę u prywatnego mistrza, lecz po dwu tygodniach rzemieślnik zrezygnował z takiego pomocnika, który się spóźnia i bumeluje. „Dyrektorów nie potrzebuje” — powiedział mistrz i dał na odchodnym 1000 złotych za przepracowane dni.

I niebawem Jerzy robi następny błąd, tym razem już wyłącznie na własne konto. Z rurką metalową przychodzą się na bufetową restauracji, idąc z utargiem. Bije kobietę po głowie, wyrywa torbę z kilkunastoma tysiącami złotych i ucieka. Następnego dnia jednak zostaje przez milicję zatrzymany, a potem aresztowany. Ukryte w popielniku pieniądze zostają odzyskane.

Podczas przesłuchania Jerzy spokojnie i dokładnie relacjonuje, jak to pracował w fabryce za 2200 miesięcznie i było mu mało tych pieniędzy, choć zarabiał 6500. Jak nie było dla niego opłacalnej pracy i się zwolnił. Jak skończyły mu się oszczędności, a gospodyni zażądała za mieszkanie, więc postanowił ukraść po prostu. Jak pa-

szedł na dyskotekę, a mieszkanie „puścił” na tę noc kumpłowi z dziewczyną. Jak wrócił wieczorem do mieszkania, wziął rurkę metalową i zaczął zostawić okno otwarte, a zresztą przypomniał sobie, że to nie była rurka, tylko złamany kij hokejowy. Jak się czaił na bufetową. Jak przypuszczał, że ona może mieć przy sobie utarg albo tylko własne pieniądze. Jak w końcu bił kobietę i wyrwał jej torbę. Jak wrócił do domu, ukrył pieniądze w piecu i położył się na trzeciego do łóżka, a rano milicja już tu była.

On to wszystko opowiada, jakby to były normalne rzeczy. Nie ma człowieka pieniędzy i nie chce pracować, bierze rurkę metalową po prostu... Postanawia ukraść po prostu... Nie istnieją żadne normy etyczne, przykazania ludzkie czy boskie, żadna moralność. Gdzie i kiedy zdążył się nauczyć tego ów 19-letni ślusarz narzędziowy, bardzo dobry uczeń i „dostateczny” — jak napisała fabryka — pracownik?! W każdym razie wywalenie chłopaka z rodzinnego domu żeby poznał „twardą szkołę życia”, nie przyniosło zbyt obiecujących skutków wychowawczych.

Bo z Krzysztofem sprawa prostsza. Kliniczny niemal przypadek. Wpierw, że rodzina pijacka cała. Potem, że miał niepowodzenia w szkole podstawowej, wagarował, powtarzał klasy. Wreszcie, że w zasadniczej szkole górniczej, do której uczęszczał, zrobił się z niego normalny „git”: terroryzował kolegów, bił, kazał sobie kupować papierosy, prać brudną bieliznę osobistą, czyścić buty, ale to „wyszło” dopiero później, kiedy Krzysztofa aresztowano. I ja się chciałem spytać w tym momencie, jakie rozpoznanie sytuacji i jakie kwalifikacje dydaktyczne posiadają wychowawcy z internatu, w którym przebywał chłopak?

Jeśli chodzi o napad na staruszkę, to obaj oskarżeni wzajemnie przypisują sobie inspirację czynu. Jerzy śle „grypsy” z aresztu do siostry i choć posiada lepszą opinię, jego sytuacja jest gorsza, kwalifikacja prawna przestępstwa ostrzejsza: „Jeśli sprawca rozboju postępuje się bronią palną lub innym niebezpiecznym narzędziem (...), podlega karze pozbawienia wolności na czas nie krótszy od lat 5 albo karze śmierci” (art. 210, § 2 Kodeksu Karnego).

pom

## HOROSKOPY

Ważne od 21 marca do 4 kwietnia

### BARAN

21 III—18 IV

Teraz, kiedy wszystko się wyjaśniło, możesz nadrobić stracony czas. Początek kwietnia zapowiada się dla ciebie pogodnie, zwłaszcza że poprawiła się co nieco twoja sytuacja materialna. Nie możesz jednak podejmować decyzji zbyt pochopnie. Po co masz później żałować?

### BYK

19 IV—20 V

Lekceważenie rad przyjaciół mści się jednak na tobie. Daruj już sobie to niefortunne uczucie, głowę muru nie przebijesz. Stosunki w pracy ułożą ci się pomyślnie, nie odkładaj na jutro tego, co powinienes zrobić dzisiaj. Plany urlopowe jeszcze raz przeanalizuj, rozważ wszystkie „za” i „przeciw”.

### BLIŹNIĘTA

21 V—20 VI

Perspektywa zmiany miejsca pracy coraz bliższa, nie licz jednak zbytbytno na twą znajomość, bo te mogą cię zawieść. Dlatego też nie zadzieraj nosa i nie okazuj szefowi swego lekceważenia. On też w tej całej sprawie ma coś do powiedzenia. Również w stosunkach domowych trzeba być bardziej ustepliwym. Zastanów się, czy ostatnio zbyt często nie ponoszą cię nerwy.

### RAK

21 VI—22 VII

Ten wyjazd powinien wreszcie dojść do skutku, nie będzie to jednak wypoczynek, jak myślisz, ale solidna praca. Czy czeka cię awans? To zależy przede wszystkim od ciebie. Musisz postępować bardziej równoważenie i nie podejmować zbyt pochopnych decyzji. Obserwuj ciebie Inni, nawet bardziej niż sądzisz. Twój dalszy los — w twoich rękach.

### LEW

23 VII—22 VIII

Trzeba było podjąć ten problem, bo z tego labiryntu trudno w końcu wyjść. Dobrze, że wreszcie zapadła decyzja. Zyskasz teraz znacznie spokojniej i z każdym dniem twoje samopoczucie będzie

się polepszać, uważaj tylko, by nie wplątać się w nową kabałę. W domu należałoby teraz wykazać nieco więcej czułości.

### PANNA

23 VIII—22 IX

Szczęśliwa passa trwa. I wszystko byłoby jak najlepiej, gdyby nie jedno „ale”. Musisz stanowczo zmienić swój język. Polszczyzna jest piękna, po co „ubawiasz” ją stale „laciną”? Twoje najbliższe otoczenie przestało już się bawić tym słownictwem. Warto, abyś bardziej solidnie przystąpił(a) do nauki. Jest to kapitał, który w przyszłości przyniesie ci znaczne procenty.

### WAGA

23 IX—22 X

To spotkanie powinno wiele zmienić w twoim życiu. Na złe czy na dobre? Trudno w tej chwili przewidzieć. Musisz jednak, jest to rzecz pierwszoplanowa, zmienić swoje postępowanie wobec ludzi. Arogancki sposób bycia jeszcze nikomu nie wyszedł na zdrowie.

### SKORPION

23 X—21 XI

Ta oszczędność do przesady śmiesz swoje otoczenie. I po co ci potrzebna ta pogoń za pieniędzmi? Już czas na bardziej spokojny tryb życia. W domu nie ulegaj zbytbytno drugiej stronie, która chodzi ci po głowie. A w ogóle weź się bardziej w garść, ostatnio zbyt wiele rzeczy zapominasz. Zastanów się, czy nie jesteś zbyt przemęczony? Urlop wykorzystaj jak najszybciej.

### STRZELEC

22 XI—21 XII

Nie denerwuj się, że ten list, na który tak czekasz, nie nadejdzie. Wszystko jest w porządku. Na pewno kocha, choć to osoba nie taka skora do manifestowania swych uczuć. Oczywiście możesz zaproponować wspólne spędzenie urlopu, nie musisz to być przecież urlop zagraniczny — w Polsce jest tyle pięknych zakątków. Pamiętaj! Jednak, że nie możesz działać w zbytbytnym pośpiechu.

### KOZIOROŻEC

22 XII—20 I

Teraz jest dobry czas na przemyślenie swego dotychczasowego postępowania. Zastanów się, co zrobić, aby podobnych błędów uniknąć w przyszłości. Nowa znajomość da ci dużo zadowolenia, ale — bądźmy szczerzy — będzie cię też wiele kosztować. Dlaczego tak szataś pieniędzmi? Już czas, abyś się nauczył(a) oszczędzać.

### WODNIK

21 I—18 II

Nie wykorzystuj nieobecności drugiej strony, bo wszystko może się wydać i tragedią rodzinną gotowa. W pracy należy jak najszybciej zlikwidować zaletę. Oceniają cię według tego, jak realizujesz codzienne zadania. Liczy się tylko to, co robisz i jak robisz. Pamiętaj o tym stale.

### RYBY

19 II—20 III

Masz trochę spokoju. Na twoim miejscu nie lekceważałabym rad lekarza. Ostrożność nigdy nie zawodzi, zwłaszcza, że obecna pora roku sprzyja różnym infekcjom. Początek kwietnia przyniesie ci nową znajomość, wówczas spokój może przysnąć. Dlaczego zaraz musisz się zakochiwać? Czy dotychczasowe doświadczenia niczego cię nie nauczyły?

### Stella

Odpowiedź Stelli: Jerzy K. z Zamościa. Nie prowadź rubryki w postaci „Ku liści sere” niemiennie jednak jeśli mogłabym Ci w czymś radzić to, wydaje mi się, że to po prostu nie ma sensu. Dziewczyna rzeczywiście Cię lekceważy, po co kontynuować tę znajomość? Oczywiście nie wszystkie dziewczyny spod znaku Lwa są takie, jak Twoja. Ale czy to jakaś pociecha?

Z. B. z Warszawy. Urodzeni pod znakiem Panny mają teraz dobre dni. Czy możesz zaufać swojemu ukochanemu? Dużo zależy tu od ciebie. Przede wszystkim nie dawaj powodu do zazdrości, nawet jeśli to jest z twojej strony zwykła gra. A jeśli druga strona potraktuje problem poważnie i zechce się rewanżować?



## AMBASADORZY

„Są wspaniałymi ambasadorami swego kraju, zapoznają nas z osiągnięciami muzyki polskiej od XIII wieku aż po czasy najnowsze. Młode głosy wywołują niezwykle wrażenie, a utwory wykonywane są z największą precyzją” — napisał ukazujący się w Delhi dziennik „Indian Express” po występie chóru akademickiego Politechniki Szczecińskiej. Do chóru tego należą zresztą także pracownicy nauki uczeni oraz jej absolwenci, stąd popularnie zespół nazywa się „Śpiewającymi inżynierami”. Tournée po Indiach i Filipinach objęło trasę długości 33 tys. km, którą pokonywano głównie samolotami. Chór poprzednio występował już w USA, Australii, Czechosłowacji, Danii, Jugosławii, Francji, Włoszech i Wielkiej Brytanii.

Ambasadorami polskiej kultury są również pisarze, których książki tłumaczone są na obce języki. W roku ub. w Bułgarii ukazało się dziewięć tłumaczeń naszej literatury pięknej. Na rok bieżący zapowiedziano dziesięć: opowiadania J. Iwaszkiewicza pt. „Ogrody” oraz jego „Eseje”, J. Broszkiewicz „Długo i szczęśliwie”, J. Domagała „Koniec wakacji”, nowe Prusa oraz wznowienie trzech pozycji E. Nizurskiego.

Takim ambasadorem jest również Romek Krauze, uczeń VIII klasy szkoły podstawowej w Katowicach. Na międzynarodowym konkursie dla dzieci w Delhi zdobył Złoty Medal Jawaharłala Nehru. Jest on członkiem kółka plastycznego w Pałacu Młodzieży. Praca jego przedstawia nowoczesną kopalnię, właściwie jej fragment z obudową kroczącą, taśmociągami i kombajnami. Jego ojciec pracuje w kopalni jako mechanik urządzeń dolowych, co tłumaczy zainteresowania chłopca.

## DOKUMENTY

Dział rękopisów Biblioteki Narodowej wzbogacił się ostatnio o kilka interesujących dokumentów. Chyba najciekawszy jest rękopis „Powieść o Walterze Udalym” Zeromskiego. Jest to zresztą drugi znany rękopis i literaturoznawcy będą musieli ustalić, który z nich jest wersją pierwotną. Są także rękopisy Poli Gojawliczkiej, powstałe po woj-

nie, wśród nich powieści „Sztandar” i „Pamiętnik warszawianki”. Są również cenne rękopisy z zakresu historii. Przede wszystkim wspomnienia b. prezydenta RP Stanisława Wojciechowskiego. Zapis dotyczy okresu odbudowy administracji polskiej po pierwszej wojnie światowej, gdy Wojciechowski był ministrem spraw wewnętrznych. Bardzo ciekawe są także wspomnienia z okresu okupacji takówwarza warszawskiego Stanisława Krzesińskiego.

Instytut Historii PAN przygotowuje wydanie obszernego wyboru relacji, wspomnień, dzienników i innych materiałów na temat sytuacji ludności Warszawy, wygnanej przez okupanta w czasie i po Powstaniu Warszawskim oraz jej powrotu po wyzwoleniu miasta. Relacje do 10 stron maszynopisu można przesłać do 1 czerwca na adres: Muzeum Historyczne m. st. Warszawy, 00-272 Warszawa, Rynek Starożytny 28, z dopiskiem „Exodus”.

## SZYMANOWSKI

Po Szopenie Karol Szymanowski jest najwybitniejszym kompozytorem polskim. Chorując na gruźlicę gardła, zamieszkał w Zakopanem, najpierw w wynajętym mieszkaniu, potem w zakupionej willi „Atma” i tu żył oraz pracował w latach 1939-1938. Mimo coraz bardziej trapiącej go choroby pracował wytrwale, tu powstały „Harnasie”, „Veni Creator”, IV Symfonia, liczne pieśni i mazurki. Zafascynował go do końca folklor góralski, czemu dawał wspaniały wyraz w swojej twórczości jak i w życiu prywatnym. Tutaj odwiedził go m. in. Iwaszkiewicz, Lilar, Rubinstein, Nalkowska. A jednocześnie wyjeżdżał na koncerty, aby zdobyć skromne środki na utrzymanie. Bywało, że z braku pieniędzy żył dzięki pomocy przyjaciół. Ostatecznie musiał sprzedać swoją ukochaną „Atmę”. Zmarł w Lozannie 29 marca 1937 roku, otrzymując trzy dni wcześniej „zasilek” z kasy ówczesnego państwa w wysokości — 300 zł, co nie dorównywało nawet trzymiesięcznej pensji listonosza. Dzięki inicjatywie społecznej „Atmę” wykupiło ostatnio z rąk prywatnych i urzędowo w niej muzeum Karola Szymanowskiego, które otworzy 6 marca. Będzie ono filią Mu-

zeum Narodowego w Krakowie. Urządzać się tam będzie także koncerty muzyki kameralnej, poświęcone utworom Szymanowskiego i współczesnych mu kompozytorów.

## KONKURSY

Zarząd ZMS budowy huty Katowice ogłasza konkurs na reportaż literacki poświęcony problematyce młodzieżowej związanej tematycznie z budową tej huty. Prace w trzech egzemplarzach o objętości nie mniejszej niż 15 stron znormalizowanego maszynopisu należy nadsyłać do 30 kwietnia. I nagroda — 15 tys. zł, dwie II po 10 tys. zł, trzy III po 7 tys. zł oraz pięć wyróżnień po 4 tys. zł.

„Gazeta Południowa” ogłasza II konkurs o nagrodę im. Adama Polewki na prasową wypowiedź dziennikarską (felieton, esej, szkic, reportaż, artykuł publicystyczny itp.) pod hasłem „Z prawdą i z sercem”. Chodzi o pokazanie przeobrażeń współczesnej Polski, konfliktów i problemów związanych z czasem intensywnych przemian. Teksty w trzech egzemplarzach należy nadsyłać do „Gazety Południowej”, 31-072 Kraków, ul. Wielopole 1, do 20 maja. I nagroda 15 tys. zł, dwie II po 10 tys. zł, dwie III po 7 tys. zł, specjalna za pracę poświęconą kulturze 8 tys. zł.

Prace na VII ogólnopolski konkurs poetycki im. Jana Śpiewaka należy nadsyłać w czterech egzemplarzach do 20 września pod adresem Wojewódzki Dom Kultury Oddział w Świdwinie, 78-300 Świdwin-Zamek. Cykl wierszy o-biemu minimum 5 utworów. I nagroda — 5 tys. zł, trzy wyróżnienia po 3 tys. zł, nagroda publiczności 2 tys. zł. Ponadto sześć autorów innych prac zostanie zaproszonych w listopadzie do Świdwina na koszt organizatorów.

Rada Główna Federacji Socjalistycznych Związków Młodzieży Polskiej ogłasza konkurs dla dziennikarzy pod hasłem „Młódzież w życiu kraju”. Chodzi o ukazanie udziału młodych w realizacji zadań planu pięcioletniego jak i uchwał VII Zjazdu PZPR, pokazanie sukcesów i osiągnięć, a także trudności i kłopotów. Udział mogą brać dziennikarze, a także literaci i inni ludzie pióra nie pracujący etatowo w prasie, radiu lub telewizji. Opublikowane teksty (od 1 listopada 1975 do 20 maja 1976 r.) należy nadsyłać do RG FSZMP, 00-920 Warszawa, ul. Nowy Świat 18/20. Nagrody: za najlepsze reportaży trzy nagrody łącznie 37 tys. zł i pięć wyróżnień łącznie 25 tys. zł, audycje publicystyczne w radio i telewizji — trzy nagrody łącznie 29 tys. zł i 5 wyróżnień po 3 tys. zł, artykuły publicystyczne w prasie trzy nagrody łącznie 18 tys. zł i pięć wyróżnień po 2 tys. zł.

## OPINIE

„Czy więc mycie zębów (tytułem przykładu) nie ma znaczenia w historii i nie powinno interesować historyka? Z pozoru — nie, jednak przy bliższym zastanowieniu się — tak. Fakt „niehistoryczny”, czyli jednorazowe czyszczenie zębów, może nas zupełnie nie interesować. Natomiast wzięty jako fakt powtarzalny, społeczny, nabiera znaczenia. Mówi nam niemało o stanie higieny i zdrowotności różnych grup ludzi, o ich obyczajach, o trybie i stylu życia, o przynależności do określonego kręgu cywilizacyjnego, a nawet o rozwoju gospodarczym”. (Tadeusz Łepkowski, „Tygodnik Kulturalny” nr 10).

„Ludzie, którzy odwołują się do agresji, najczęściej nie posiadają dostatecznej umiejętności werbalnego rozwiązywania konfliktów. Należy więc rozwijać te umiejętności: wówczas ludzie mogą się dogadać, a nie okładać pięściami. Równie często agresywność sytuacji można zmniejszyć dzięki zwykłemu poczuciu humoru (...) No i nie okazując lęku. Strach zachęca do agresji, zarówno tego, który się boi, jak i tego, który czuje, że drugi się go boi”. (Prof. Albert Bandura, „Kultura” nr 10).

„Dla wielu z nas czyn społeczny kojarzy się nieodparcie właśnie z machaniem łopata (...). Pewnie, machanie łopata w świętym powietrzu wielu się przyda. Ale mamy wśród nas wielu ludzi, których wiedzę i doświadczenie można byłoby z większym pożytkiem wykorzystywać w ramach pracy społecznej i którzy się chętniej takiej pracy podejmą. Poza tym machanie łopata ma jeszcze i tę złą stronę — a wemy to z praktyki — że po takiej pracy przychodzi „silna grupa pod wezwaniem MPK czy zieleni miejskiej” i niweluje to wszystko, cośmy tam wspólnie namachali”. (Marcin Rodak, „Odgłosy” nr 10).

## WYZNANIA

„W poszukiwaniu koncepcji antykoncepcji i przyczyn kompromitującego stanu „produkcji” antykoncepcyjnej spotkałam się z poglądem wcale nie odosobnionym i wcale nie pochodzącym z mgły, że to jest sprytnie zamaskowana polityka demograficzna... wywodząca się z przekonania, że antykoncepcja i prokreacja stoją w sprzeczności. Sądzę, że to jest raczej niedomyślność kół kompetentnych. Bo w łóżku dzieją się rzeczy nie tylko przyjemne, ale i ważne, bo przyszłość społeczeństwa zależy nie od ilości małych fiatów, ale dziecinnych wózków”. (Helena Noskiewicz, „Życie Literackie” nr 10).

„Ośrodek sytości i głodu musiał się w czasie mojego pobytu w tym mieście — tam ubóstwo nie mogło być. Ale możemy znieść wycieńczenie pokarmu organizmu i to jest zasadą naszych operacji. Jeśli ktoś — poprzez któregoś siłacza wędrownika się pokarm — ma około 8 m długości, skracamy je o 4-5 m, powiększamy wędrownika się zmniejsza, człowiek chudnie”. (Dr hab. Leopold Oleszkiewicz, „Wiadomości” nr 10).

„Gdyby nie kobieta, gdzie byłby mężczyzna? W raju. Tak straszają się dzieje picinowego poziomu człowieka”. (Wojciech Strzecha, „Kierunki” nr 10).

„Nie było w moim życiu wyznanego pożądanego sportu i nauki. To były rozdziały związane ze sobą nierozdzielnie. Wiele zdołało się walczyć, wiele wypracowało, nie było bowiem wielu indywidualnego toku studiów, a wykładowcy stosowali wobec nas — wyznanców — zaawansowane kryteria oceny. Tym większą satysfakcją z tego, co się zdziwiałem, (Edward Czerniak, b. rezydent w Polsce, „Trybuna Ludu” nr 55).

## TEATRY

Od lat wazysej narzekają, że polskie sztuki mają trudny dostęp do teatrów, które bronią się tym, że sztuki są mało atrakcyjne. Prawda leży chyba gdzieś pośrodku, a faktem jest, że jeżeli teatry nie chcą wystawić, to i sztuk mało. Na tym większą pochwałę zasługują łódzki oddział ZLP, pod którego egidą powstał studyni „Teatr otwarty”, którego zadaniem jest wystawianie prapremier polskich sztuk współczesnych. Finanse daje Urząd Miasta, salę Łódzka Fabryka Transformatorów „Ema-Elita”. Fabryka zobowiązała się również na własny koszt wydawać w 150 egzemplarzach każdą wystawianą tam sztukę i rozesłać ją do innych teatrów w kraju. Kierownikiem artystycznym teatru jest łódzki pisarz Karol Obidniak. Działalność rozpoczęto wystawianiem sztuki Jerzego Wawrzeka „Dom na zaciągu”, która stanowi debiut dramatyczny znanego pisarza z Łodzi. Jej treścią są konflikty we współczesnej rodzinie robotniczej. W przygotowaniu „Tryptyk erotyczny” Karola Obidniaka.

Teatr im. Bogusławskiego w Kaliszu zainicjował ciekawą imprezę — konkursy recytatorskie im. Marji Dąbrowskiej dla młodzieży ze szkół średnich i zakładów pracy. Teatr patronuje także konkursom recytatorskim poezji i prozy radzieckiej. Konkursy kończą się występem aktora, który prezentuje właściwy sposób interpretacji tekstu. Najlepsze w konkursach mogą potem próbować sił w drobnych rolach na scenie teatru.

# nowe i notki

W piętnastym roku swego istnienia tygodnik studencki „Itd” doszedł do wniosku, że trzeba wreszcie zająć się nieco literaturą, więc w nr 10 (798) zainicjował rubrykę „Debiuty”, a w niej umieścił cztery wiersze. Aby jednak kandydatom na poetów (mają być drukowani również kandydaci na prozaików) nie przewróciło się w głowie, wiersze zajmują znacznie mniej miejsca niż sławne „porady seksuologa”, a dwadzieścia razy mniej niż materiał o sprzątaczkach na dworcu warszawskim i w szatach miejskich. Jeden z nielicznych zaś artykułów na temat studenckiej opatrzonej jest notką redakcyjną, że „najbardziej irytują studentów ludzie; przede wszystkim ci, z którymi na co dzień obcuje, uczą się, bawią, działają w organizacji, słowem — ich koleżki”. Jeżeli tak jest, to czy tygodnik studencki nie czuje się za to jakoś współodpowiedzialny?

Co zbliża nas do prawdy historycznej? W „Literaturze” (nr 10) przeczytałem takie twierdzenie Włodzimierza Sokorskiego: „Każdy z nas w pewnym wieku, raczej już jednak dojrzałym, przypomina jedno oko. Sokorski dobroliwie, Putrament nieco złośliwie. Trudno jednak zaprzeczyć, że i jedna i druga metoda zbliża nas do prawdy historycznej i jest określoną formą walki politycznej z pozycją literacką”. Już chciałem się zastanawiać, ile prawdy historycznej można zobaczyć przez pryzmaty oko, gdy nieco dalej przeczytałem: „Pisarz jest pisarzem i już z tego powodu godny jest szacunku, nawet gdy okresowo popełnia głupstwa”. A moim zdaniem Sokorski godny jest szacunku.

Klub Sportowy Budowlani w Lublinie nie należy ani do największych, ani do najbardziej w sporcie znaczących. Niedawno odbyły się w nim wybory władz. Nie będę wliczał, ilu jest dyrektorów w 23-osobowym zarządzie, bo dyrektor też człowiek i ma prawo uprawiać lub popierać sport. Ale chyba niejaką przesadą jest fakt, że w 11-osobowym prezydium jest aż 6 (słownie — sześć) wiceprezesów. Znam takie przystawie o kucharkach, ale nie będę go przypomniał.

Ogłoszeniem przedsiębiorstwa „Elmont” z Chorzowa, które ukazało się w nr 32 „Sztandaru Ludu”, powinien zainteresować się nie tylko inspektor pracy, ale i prokurator. Otóż przedsiębiorstwo w olbrzymim ogłoszeniu zawiadomia, że przyjmuje do zasadniczej szkoły zawodowej uczniów, którzy ukończyli 4 (cztery) lata życia, a nie przekroczyli 17. W dodatku te maluchy mają złożyć pisemne podanie oraz własnoręcznie napisany życiorys.

Według ostatniego rocznika demograficznego ONZ na świecie żyje 3 890 000 000 ludzi. Więc jeżeli na olimpiadzie w Innsbrucku Bobak na dużej skoczni zajął 37 miejsce, to i tak wspaniale. Przecież 3 889 999 963 jest gorszych od niego. Przynajmniej teoretycznie, a to też coś znaczy.

Chyba stale zaczęły czytywać „Kobietę i Życie”. Z okazji Święta Kobiet niemal cały nr 10 został poświęcony mężczyznom. Nie posłucham tylko rad pani Zofii Kamińskiej, która proponuje mi, abym zapisał się do ośrodka kultury TKKF. Albowiem ideałem autorki jest mężczyzna skurak mojego wzrostu (187 cm), ale ważący 113,5 kg, a mający udę o obwodzie po 77,5 cm każde. O te 0,5 kg i 0,5 cm za dużo, (o latach nikt nie wspomina).

Latem wygląda na to, że co dziesiąty Polak posiada aparat fotograficzny. W związku z tym pięć instytucji kulturalnych w Opolu ogłosiło konkurs fotograficzny na temat piękna krajobrazu tego rejonu. Jak obecnie donosi miesięcznik „Opole”, ze względu na niski udział i niski poziom, jury nie przyznało żadnej nagrody — co świadczy dobrze o członkach jury ale że o właścicielach aparatów. No ale cóż, posiadanie długopisu nie oznacza, że jest się, albo nawet bywa poetą.

Sympatyczny miesięcznik rzeszowski „Profile” obyczajem niektórych czasopism zamieszcza na przedostatniej stronie zdjęcia zupełnie rozebranych kobiet. Tak jest i w nr 3 — ale podpis zaczyna się od nagłówka „Ryby”, zaś w tekście czytamy m. in. „Ryba, choć w płynie mieszka, wylewna nie jest (...) Ryba na naszym zdjęciu ma śniętą minę”. Wygląda na to, że autor pisząc ów tekst był nie tyle może śnięty, ile zaśnięty.

W sobotę 6 marca apteki woj. lubelskiego nie miały dnia wolnego od pracy, ponieważ nie wykonano planu sprzedaży leków. A nie wykonano, ponieważ nie było epidemii grypy i w ogóle ludzie mniej chorowali, co cieszyło wszystkie przedsiębiorstwa, instytucje, urzędy, a prywatnie także wszystkich nas. No i mamy przykład, jak formalne stosowanie przepisu zmienia się w nonsens.

# akrad wicz

## Rudolf Valentino

HOLLYWOOD przygotowuje się do obchodów 50 rocznicy śmierci Rudolfa Valentino. Znany reżyser angielski Ken Russell kończy realizację opartego na własnym scenariuszu filmu o życiu Valentino, będącego trzecią z kolei filmową biografią bożyszczą Hollywood, zmarłego w 1926 r. w wieku 31 lat. Równocześnie telewizja USA prezentuje cykl programów poświęconych życiu i karierze bohatera „Szajka” i „Krwini w piasku”. Inauguracyjna pozycja pt. „Legenda o Valentino” wzbudziła dość sprzeczne opinie, zaś bratanek Valentino, Jean Gugliemi, domaga się, aby wydano zakaz projekcji tego filmu, który określa jako „nieprawdziwy i przedstawiający w fałszywym świetle wiele faktów”.

Lata nie zatarły legendy o Valentino; pozostaje on nadal symbolem romantycznego kochanka. Kariera tego gwiazdora, chociaż krótkotrwała, była istotnie niezwykła. Jako 18-letni chłopiec, Valentino, którego właściwie nazwisko brzmiało Rudolfo Pietro Filiberto Gugliemi, przybył do USA, jak wielu włoskich emigrantów, w poszukiwaniu pracy. Z wykształcenia agronom, nie mogąc znaleźć odpowiedniej pracy, miał się różnych zajęć, występując m. in. przez jakiś czas jako fordanser. Jako wykonawca modne wówczas tanga argentyńskiego zwrócił uwagę gwiazdy rewiowej Bonnie Glass, która przedstawiła go słynnemu kompozytorowi Alemowi Johnsonowi; zaangażowany przeszedł do rewi, zdobywa pierwsze szlify aktorskie. Wkrótce porzucił rewie dla filmu. Po okresie statystowania, zaproponowano mu rolę w filmie „Czterech jeźdźców Apokalipsy”. Film odniósł ogromny sukces i pasuje Valentino na gwiazdora, o którego od tej chwili zaczynają się ubiegać największe wytwórnie.

W 1922 r. Valentino poślubił tancerkę Joannę Acker, następnie zaś inną tancer-

kę, Nataszę Rambow. I to małżeństwo nie należało do udanych, zaś despotyczny charakter Rambowej odsunął Valentino na pewien czas od filmu, zwracając go znów w kierunku rewi, a nawet cyrku. Dopiero po ostatecznym zerwaniu drugiego małżeństwa zawarł korzystny kontrakt z wytwórnią United Artists, zaś słynnymi filmami z tego okresu są m. in. „Syn Szajki” i „Czarny Orzeł”. W tym również okresie swego życia poznał Polę Negri, zaś na temat ich słynnego romanisu po dziś dzień krążą różne sprzeczne niekiedy wersje.

Przedwczesna, w pełni rozkwitu kariery, śmierć aktora pogryziła w żalobie cały ówczesny świat filmu i wywołała falę historycznej rozpaczki tysięcy kobiet. Kilkaście z nich popełniło samobójstwo, inne przez długie lata nie zdejmowały żałoby. Powstały kluby pamięci Valentino, w których wielbicielek jego talentu uroczyście obchodzili rocznice związane z osobą ich ideału.

W związku z jego nieoczekiwanym zgonem, powstała lawina plotek i różnorodnych domysłów na temat okoliczności i przyczyn śmierci. Mówiono o zepsięciu zdradzonej kochanki. Krążyły również pogłoski o niezidentyfikowanym bliżej płatnym mordercy, wynajętym przez filmowych rywali aktora, oraz wiele innych mniej lub bardziej prawdopodobnych wersji.

Jakim właściwie aktorem był Valentino? Czemu zawdzięcza on balwochwalce uwielbienie kobiet i rangę w ówczesnym świecie filmowym Hollywood?

W przeciwnym razie do utartej opinii, Valentino nie był aktorem miernym. Niewątpliwie swoje sukcesy zawdzięcza w dużej mierze warunkom rewnym oraz atmosferze swoistej egzotyki, która go otaczała choćby w związku z jego latyńskim pochodzeniem. Ten z posutu lekkoduch i kobieciarz, umiał z dużą szczerością i talentem przekazywać kreowanym przez siebie postaciom wiele wewnętrznego ciepła i wydobywać z nich cechy swoistej szlachetności i bohaterstwa, co szczególnie działało na kobiety.

Jeanne de Recqueville, założycielka i przewodnicząca francuskiego stowarzyszenia przyjaciół Rudolfa Valentino, przygotowała obszerną biografię aktora. Aby rozreklamować założone przez siebie stowarzyszenie, wydała cocktail-party, zapraszając wiele osób ze środowiska artystycznego. Obecna tam aktorka filmu niemeo Louise Lagrange wyznała, że „obejmowały ją ramiona Rudolfa Valentino”. Jednak bebsporną gwiazdą przyjęcia wydanego przez Jeanne de Recqueville stała się jedna z najmłodszych jego uczestniczek, niespełna 10-letnia Renee Saint-Cyr, która oświadczyła, że nigdy nie uznawała „kultu gwiazdatorów” i uważa go za głupi i bezmyślny.



# Pocztą literacką

Z. M. Toruń. Przeczytałem nie bez zainteresowania To co Pan pisze regularna strofa jest znacznie gorsza od tego co tzw. wierszem wolnym. Przypuszczam że przy pisaniu Pan zastanawiał się nad tym jak to ma wyglądać. Na razie jednak nie możemy przynieść żadnych zobowiązań co do druku, ponieważ są to dopiero udane początki. Poczekajmy.

P. K. C. Zabrze. Cieszyłbym się Panem przekażąc swoje wrażenia czytelnika. Otóż wydaje mi się że te wiersze są za mało zorganizowane. Brak im kompozycji, to zorganizowane kości. Na dobrą sprawę każde określenie może się znaleźć w każdym wierszu. Widzi Pan na leżą w „Wino” w tym gwałtownym przynaganiu słów, żeby nabrały wzmoczonej ekspresji. Nie doradzę tej galonki. Radzę się zastanowić. Ale zastanowić się tak, żeby ślad tego pozostał w tekstach.

Andrzej Z. Dziękuję za pamięć mimo dwuletniej przerwy w naszych kontaktach. Muszę jednak Pana smartwić, że ta pochojność która nie sprzyjała dojrzewaniu pańskich wierszy, została. Szczególnie wyraźnie ją widać w wierszu „Wino” w tym gwałtownym przynaganiu słów, żeby nabrały wzmoczonej ekspresji. Nie doradzę tej galonki. Radzę się zastanowić. Ale zastanowić się tak, żeby ślad tego pozostał w tekstach.

C. K. Lublin. Nie chciałbym mówić o tych wierszach w sposób „oficjalny”, ponieważ są to krótkie mówki — nie dobre a z tego stwierdzenia nic nie wynika. Chciałbym żeby te kilka słów przysłał Pan jako wypowiedź w rozmowie towarzyskiej. Jeśli Pan tytułuje wiersz „Blask cienia” to mogą przynieść, że to mnie nieco zastanawia. To zestawienie dwu kontrastujących rzeczowników. Ale kiedy po tym idzie „wędrując przez życie” „wśród ciemności życia odświeżam drogę” itp. to jeże się cofam udzieleny kredyt. Są to banały przeniesione wprost z zaszytych, czy przeczytanych sformułowań.

A. Z. Lublin. Szczere odpowiedzi, że w Pana wierszach brak mi tego, co można by nazwać treścią humanistyczną. Wprawdzie Tadeusz Peiper powiedział, że poezja jest sztuka układania pięknych słów ale ten postulat wyłącznie formalistyczny nie wyczerpuje istoty poezji. Nie wystarczy coś kunsztownie powiedzieć trzeba jeszcze żeby powiedziane było o czymś ważnym. Jestem pewien, że Pana na to stać. Przypuszczam że następna przesyłka będzie zawierała jakieś znamiona reakcji na tę moją propozycję.

W. G. Puławy. Dlaczego Pan widzi wszystko w czarnych kolorach? To też pewnego rodzaju daltonizm. Nie zamierzam Panu zasugerować łatwego optymizmu, ale pełnia widzenia wymaga czasem ujrzenia łasnych barw. Owszem, artysta ma prawo mieć swój kąt patrzenia, ale też nie da się zlekceważyć tego poglądu na sztukę, według którego ma ona człowiekowi pomagać. Konstruować jest mimo wszystko trudniej, niż destruować.

Z. B. Białą Podlaską. Odnoszę wrażenie, jakby Pan ustalał sobie limit swojego piarstwa. Jakby Pan nie chciał za dużo powiedzieć. Niesłusznie. I tak się powie mniej, niż się zamierzało. Przybądź określał: „poezja to zamach na wszystko”. Jeśli nie zamierzamy tego „wszystkiego”, rozmawiamy się z celem poezji. Spadamy w banal.

G. C. Bógoraj. Interesujące są perypetie, przez które przeprowadza Pan swojego bohatera. Interesujące jednak od strony anegdotycznej, nie literackiej. Nie wykorzystaj Pan tematu. Zawieź Pan atrakcyjności wydarzeń, niechże nie dodaje od siebie. To nie wystarczy. Życie nie wyrecytuje autora. Trzeba napisać.

B. Z. Lublin. Jest współczesność realna, ale utwór nie jest współczesny. Trzeba jeszcze trafić w charakter czasu. Tego w pańskim opowiadaniu nie ma. Jest raczej „odwieczna” problematyka ludzka, tyle, że ujęta w dzisiejszej scenarii. W dodatku potraktowana dość zdawkowo i schematycznie. Brak filozoficznej, światopoglądowej podbudowy. Czytelnik powinien czuć, co autor robi, co walczy, co go zachwycia, czego nie cierpi. Jeśli tego nie ma, utwór literacki nie oddziaływa. Jest martwy.

# Szyfrogram (nr 6)

Podajemy wyraz pomocniczy, którego literę na miejsce odpowiadających im liter i odczytać rozwiązanie — zdanie i noweli znanego polskiego pisarza starego imię i nazwisko utworzą pierwsze litery początkowych 17 wyrazów pomocniczych. Czarne kratki w diagramie oznaczają wolne słowa.

Wyrazy pomocnicze:  
 4. 47 47 43 32 — bohater mitów greckich  
 7. 22 29 131 54 38 — fragment drobne zdanie  
 9. 3 31 37 121 125 56 — tyle, co mieści się na ręku, wążka  
 23. 23 130 46 — rada ministrów  
 14. 11. 4 62 — angielski zamek do drzwi  
 16. 83 39 71 42 13 58 — między stołkiem i fotelem  
 15. 30 1 69 79 59 20 36 76 — los, pomyślność  
 2. 48 110 104 86 72 99 — występ publiczny  
 25. 93 83 17 72 75 — bohater eposu Wer-gilusza  
 78. 21 80 80 111 139 83 88 — leśne w wal-cu Waldteufela  
 84. 137 96 103 26 — chwast w zbożu  
 10. 35 49 126 117 30 43 70 105 — przyby-cie ludzi do obcego państwa w celu osiedlenia  
 27. 55 31 66 135 87 — marcowy solenizant  
 18. 34 52 82 40 98 — rekordowy wynik  
 19. 101 119 114 68 — staroegipska bogini światła zmarłych  
 1. 44 129 94 65 97 — sława  
 24. 89 51 63 53 128 142 — sfilmowana przed wojną powieść Dolegi-Mostowicza  
 106. 115 112 8 107 127 136 — zewnętrzny wygląd przedmiotu  
 140. 41 61 118 133 — sygnał lokomotywy  
 60. 143 77 64 134 138 — szpiegostwo  
 120. 113 74 109 — brak szczęścia  
 108. 91 57 122 — lina mocująca statek w porcie  
 116. 92 12 124 100 — sportowy krzyk  
 brytyjski tylko oddycha  
 123 141 102 28 132 — orator

	1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11		
12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22	23	24	
25	26	27	28	29	30	31	32	33	34	35	36	37	
38	39	40		41	42	43	44	45	46	47		48	
49	50	51	52	53	54	55	56	57		58	59	60	61
62	63	64	65	66		67	68	69		70	71	72	73
74	75	76		77	78	79	80	81	82	83		84	85
86	87	88	89	90	91		92		93	94	95	96	97
	98	99		100	101	102	103	104	105	106	107	108	109
	110	111	112	113	114		115	116	117	118	119	120	121
122	123	124		125		126	127	128	129	130		131	132
133	134	135	136	137		138	139		140	141	142	143	

Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (skr. poczt. 231, 20-950 Lublin). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy bony książkowe.

Rozwiązaniem szyfrogramu z nr 4 był fragment opowiadania Erskina Caldwell'a „Koniokrad”. Wtedy szeryf powiedział, że ma na myśli nakaz aresztowania. Pan John zapytał, za

co i czy to żarty, czy jak. A szeryf mu objaśnił, że za kradzież Lekkoniego, sro-katego konia Luda Moseleya.

Za prawidłowe rozwiązanie szyfrogramu nr 4 cztery bony książkowe po 40 zł każ-dy, wylosowali: Janina Chrzanowska, 20-013 Lublin, ul. Narutowicza 70/72 m. 23; Kazimierz Piłud, 22-548 Turkowice, wieś Wro-nowice; Stanisław Janeczarek, 23-212 Wilkolaz Góry; Jan Miesiącerek, 35-202 Rzeszów, ul. Koszyńców 2/52

## listy do kamery

### MOŻE BYĆ LEPIJ

W dyskusjach publicznych, eksponowa-nych przy pomocy środków masowego prze-kazu, mówi się, że jednym z podstawowych kryteriów postawy obywatelskiej jest sto-sunek do pracy. No właśnie... Otrzymałem niedawno nowe mieszkanie, w budynku tożsamości technologicznej OWT, w którym rot się od usterek, a których usunięcie prze-rastało początkowo w możliwość wszystkich uwikłanych w sprawę i występujących pod szyldami różnych instytucji i przedsię-wzięcia. Nie o to jednak chodzi. Chciał-bym zwrócić uwagę właśnie na sam sys-tem budowania, już z nazwy oszczędnoś-ciowy. Otóż po rozmowie z robotnikami pobliskiej budowy doszedłem do wniosku, że wszystkie warunki tej technologii nie są w praktyce przestrzegane. Płyty zastawiane są niedokładnie, tam gdzie należało — nie daje się zaprawy, wadliwie montuje się parapety z płyt paździerzowych. W osiedlu „Maki” te parapety licza zaledwie 9 cm szerokości, nie ma mowy o postawieniu na nich doniczek z kwiatami, w ogóle nie na-dają się do niczego. Stwarza to coś w ro-dzaju „podwójnego systemu budowy”, al-bowiem w ślad za lokatorami, którzy wpro-wadzają się do nowych mieszkań, idą ro-botnicy którzy pryncipalnie proponują wymia-nę parapetów na lastrkowe i odpowiednio szerokie — za 500 zł od sztuki. Ludzie przy-stają na to, bo co mają robić. Tak zatem OWT ufajnia przed użytkownikiem swój pozorony charakter oszczędnościowy. Tak być nie powinno, a co najważniejsze — wcale być nie musi. Ale jest — i ludzi szlag trafia. Prezes spółdzielni „Kolejarz” podobno podjął decyzję zastąpienia koloro-wych „daszek” miedzynoktynowych przez so-lidniejsze, mурowane formy, lepiej chronią-ce przed wilgocią. Czuli usprawnienia są możliwe, trzeba tylko chcieć.

Adam Bieniewski  
Lublin

## KULTURA W ZAGŁĘBIU

Kilkakrotnie pisaliśmy o sprawach kultu-ry w perspektywie budowanego właśnie Lubelskiego Zagłębia Węglowego. Artykuły miały charakter analityczny, ukazywały pewne problemy, które można by rozwią-zać tylko z pomocą tego przemysłu, ale i dla niego dla zatrudnionych w nim ludzi. Byłoby interesujące dowiedzieć się, co są-dzi o tym wszystkim sama dyrekcja LZW. O ile wiem, nic na ten temat nie ukazało się dotąd w prasie.

Jerzy Kruk  
Chełm

## „STRIPTIZ” W SZKOLE?

Ostatnio jakoś mało pisze się o kulturze w terenie, w ośmiach i małych miastach. Widocznie dziennikarzom znużono się już powtarzać na okrągło, że z bazy krucho, a z karda jeszcze gorzej. Wierzę, że mam dla was nowy temat. Zajmijcie się np. treścią im-prez kulturalnych urządzanych w woje-wództwie. Ostrzegam, że to trudna sprawa. Po-plitanie z pomieszczeniem, wszystko wskazu-je na to, że w dynamicznych działaniach popularyzacyjnych zetracilo się odzież hier-archia wartości, które należą upowszechn-niać. Działacze terenowi albo powielają sta-re schematy, albo całkowicie ulegają mo-dzie. Wiem np. o tym, że swego czasu „Es-trada” zjechała do szkoły odnórskatacej m. in. ze „striptizem”. Młodzież, oczyniście, wyproszone, ale to co działo się wokół bu-dynku, przypominało ciekawego (ładny tyłek!), ale czy rzeczywistość ta właśnie część anatomi jest najlepsza pomocą dy-daktyczna z zakresu wychowania plastycz-nego, prowadzanego w szkołach? I czy faktycznie symbolizuje wartości kulturalne wyższego rzędu?

Maria Konieczko  
Biała Podl.

## CHWAŁĄ NAS?

Gratulacje za pomysł z publikacją tytu-lów gazetowych sprzed i po Olimpiadzie w Instrukcji! Taki montaż jest bardziej wy-mowny, niż najbardziej przemysłowy arty-kul. A swoją drogą aż się wierzć nie chce, że dziennikarze potrafia być tacy sym-patycznie naturalni, nadmiernie serdeczni i tęcz liści w stosunku do naszych gwiazd sporto-wych — do utraty realnego widzenia spra-wy! Macie szczęście — to na marowanie — że rzadko piszecie o sporcie. Chociaż... O ile pamięć mnie nie zawodzi, to raczej kry-tykujecie, niż chwalcie.

Jan Kurowiecki  
Puławy

Tadeusz Chabros

## OKRUCHY

Historia powszechna: opasły tom w dwóch częściach. Część pierwsza — księga zamachów indywidualnych, część druga — księga zamachów masowych.

Niektóre stoiska handlowe są permanentnym pokazem przekształcania bardzo dobrych su-rowców w bardzo złe towary.

Przepis na powodzenie: efek-towne, znaczące milczenie.

Talenty wybucają nagle i oślepiają się wzajemnie. Mier-noty, w momentach ich niewi-dzenia, wysuwają się za ich pleców i zajmują im przeznaczone miejsca.

O zdrowiu myślą tylko ludzie chorzy. O samochodach ci, któ-rzy je posiadają, jak również ci, którzy ich nie posiadają.

Cierpienie uszlachetnia. Czy również i wtedy, gdy bolejemy nad własną miernością?

Często muzyka tzw. „nie-żowa” jest tak głośna, że zagłu-sza muzykę.

Na moje samotne spacerki za-bieram swoje myśli sprzed lat dwudziestu. Mam zawsze kon-trowersyjnego i interesującego rozmówcę.

Pismo Lubelskiego Oddziału Związku Literatów Polskich.

Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski.

Redaguje zespół: Maria Bechzyk-Rudnicka, Jerzy Dostatni (sekretarz redakcji), Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Zygmunt Mańkowski, Zygmunt Mikulski (kierownik działu literackiego) — członkowie Kolegium Redakcyjnego oraz Mirosław Derecki, Tadeusz Jasiński, Ireneusz J. Kamiński (kierownik działu publicystycznego) i Maciej Podgórski, Redaktor techniczny — Irena Komosa, korektor — Ewa Dybek.

Cena prenumeraty krajowej rocznie 78 zł, półrocznie 39 zł, kwartalnie 19,50. Prenumeratę przyjmują oddziały: RSW „Prasa—Książka—Ruch” oraz urzędy pocztowe i doręczyciele w terminach: — do dnia 10 każdego miesiąca (z wyjątkiem grudnia) po-przedzającego okres prenumeraty.

Jednostki gospodarki społecznej, instytucje i organizacje społeczno-polityczne oraz wszelkiego rodzaju inne zakłady pra-cy składają zamówienia w miejscowych Oddziałach RSW „Prasa—Książka—Ruch”.

Zakłady pracy w miejscowościach, w których nie ma Oddziałów RSW oraz prenumeratorzy indywidualni zamawiają prenume-ratę w urzędach pocztowych lub w doręczycielach.

Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę, która jest o 50% droższa od prenumeraty krajowej przyjmuje Biuro Kolportażu Wydawnictw Zagranicznych RSW „Prasa—Książka—Ruch”, ul. Wronia 23, 00-958 Warszawa.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty, kierownik działu literackiego przyjmuje intere-santów w poniedziałki i piątki w godz. 14-18.

Wydawca: RSW „Prasa—Książka—Ruch” Lubelskie Wydawnictwo Prasowe Lublin, ul. Jasna 6. Druk: Lu-belskie Zakłady Graficzne im. PKWN, Unicka 4. Zam. 717. 4.03.76

Numer łamal: Mieczysław Psujek, drukował zespół pod kier. Eugeniusz Kurędy

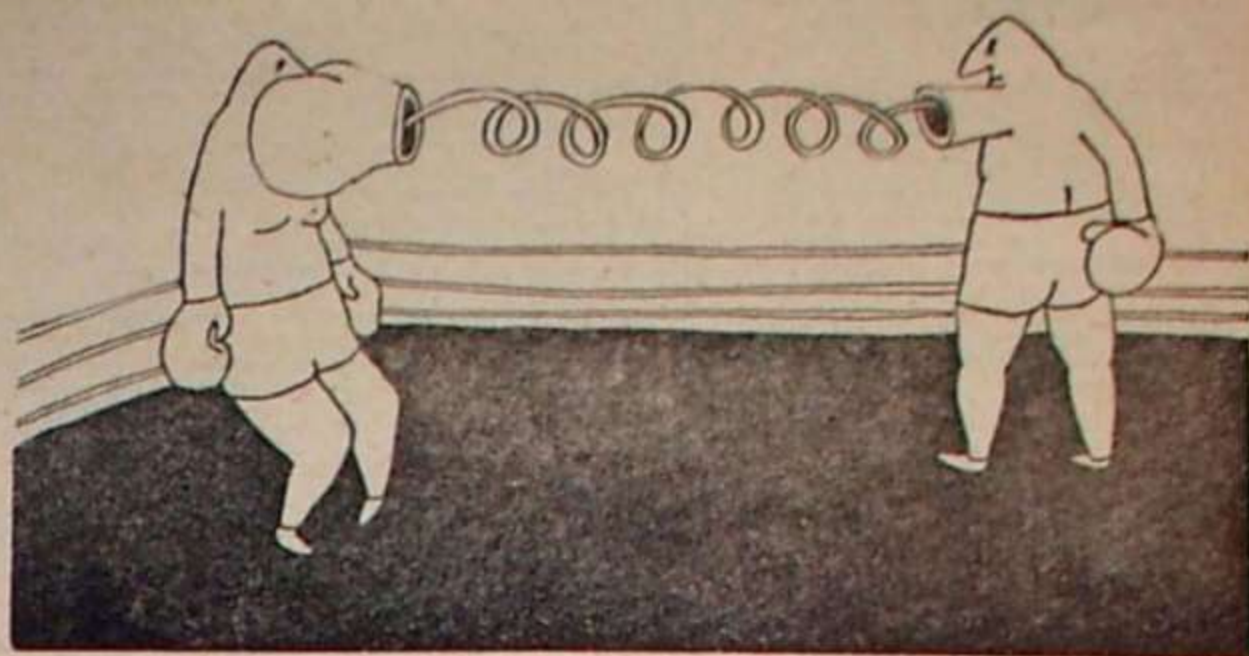
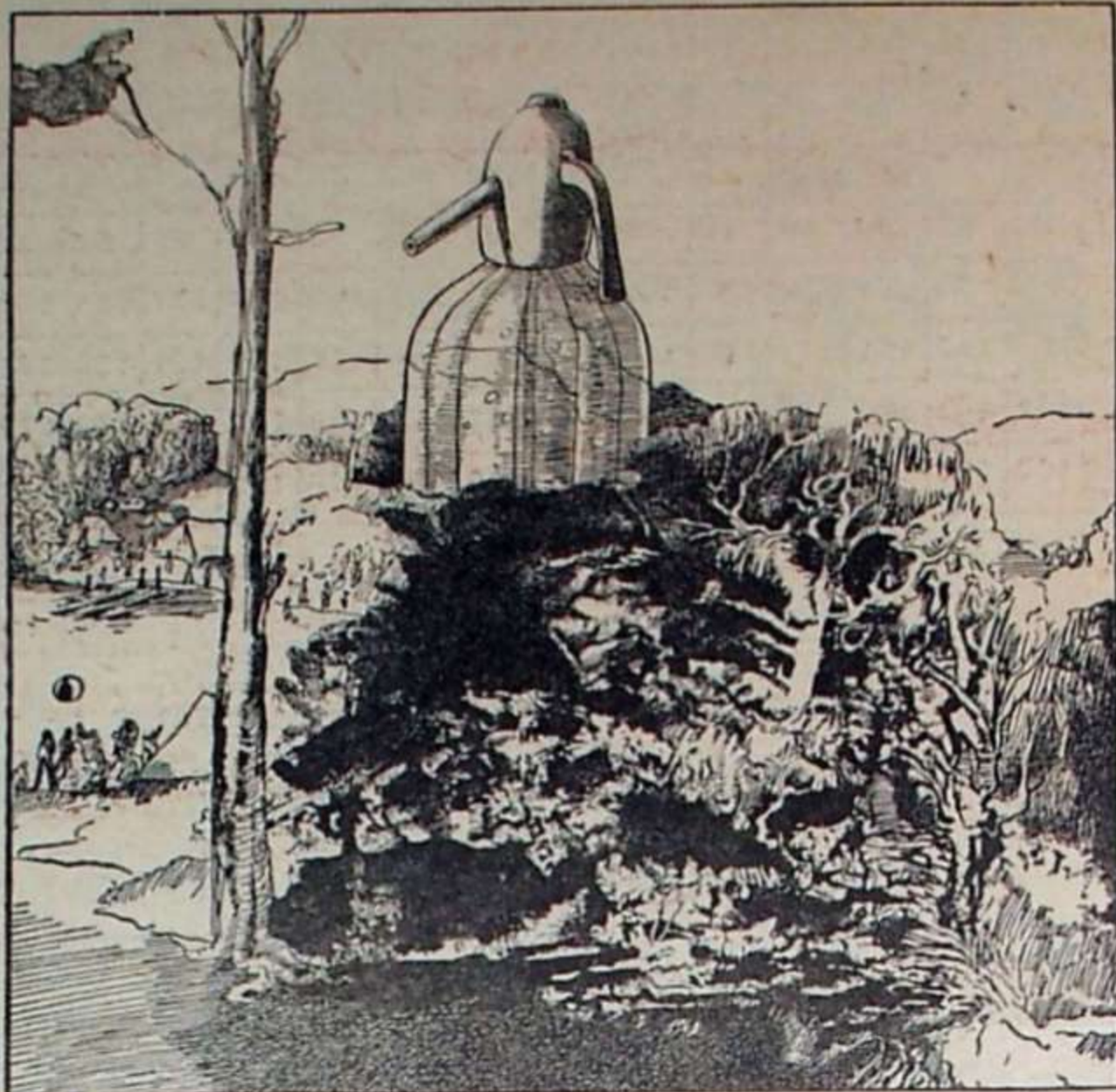
Adres redakcji: 20-029 Lublin, ul. Skłodowskiej 2/1

Nr indeksu: 36231

Telefony: sekretariat, sekretarz redakcji i naczelny redaktor 255-93, dział publicystyki i literacki 275-35.  
 Korespondencje zwykle prosimy kierować pod adresem: 20-950 Lublin 1, skrytka pocztowa 231; polecane i ekspresowe — pod adresem redakcji.



# DZIŚ ANTONI CHODOROWSKI



## minuta myślenia

## Kursywa i tłusty druk

**C**ZYTAM dużo, bo dużo się drukuje, ale o swej czytelniczej satysfakcji nie mogę powiedzieć, by osiągała analogiczne rozmiary. Kiedy wyciągam rękę po egzemplarz czasopisma, z góry przeżywam obawę z powodu planowanej straty czasu dla utrzymania się w tzw. kursie. Ale prasa nie popuszcza. Przygniata mnie, zasypuje stertą słów, spod których ledwo się wygrzebuje, nie zawsze z zyskiem wyłowionej myśli.

Odnosi się to szczególnie do stron ostatnich. Kiedyś właśnie one stanowiły główną czytelniczą atrakcję, dziś się zmieniło. Felieton przeżywa anemię. Nie piszę tego ani bufońsko, ani samokrytycznie, bo tych kilka słów pod nagłówkiem o treści przerebobionej z minuty milczenia i godziny myśli nie pretenduje do miłana felietonu. Tym swobodniej poczynam sobie pod adresem cudzym.

Hamilton. Na szpalte kursywy wszedł od razu triumfalnie. I całkiem słusznie, że triumfalnie. Jego siłą była świeżość, bezkompromisowość czasem granicząca z prostotą staroświeckiego weredyka, zdrowy

rozsądek jako krytyczny odruch wobec „inteligentnego” mataczenia. „Mięso”, a nie stylizowana przyprawa. Przez długi czas opinia publiczna reagowała według notowań Hamiltona. Kiedy wynikała kwestia sporna, zawsze górę brała hamiltonowska perswazja, nawet wyrażona w sposób drastyczny, bo pewien procent drastyczności — sądźno — musi być złączony z opozycją, a ważne, że opozycja jest słuszna. Z czasem jednak z hamiltonowskich rajdów zaczęła wyparowywać słuszność, została drastyczność. Felietonista zauważył, że ona do atrakcyjności felietonów wystarczy i przestał dawać „mięso” poprzestając na odpowiednio pieprzonej przyprawie. Tak np. w felietonie z 7 numeru „Kultury” pisząc o księżce Holmara von Dittfurta „Dzieci wszechświata” i dezawuuując zawarte w księżce tezy, pozwala sobie na passus: „Ale to może sobie wydoktrynować i wykonypować taki czy inny Dittfurt”. I dawaj pouczać autora oraz wszystkich swych czytelników co to jest kosmos. Że to otchłań (bo sądziliśmy, że dotek), że ziele obcości (bo wydawało się nam, że to samiec jamnika), że jest nieskończony (bo rzeczywiście „w mroźną lutową noc” widzieliśmy go jak

dach nad naszymi głowami). Nic tam studia nie pasowanie się z zagadnieniem, nie nagromadzenie naukowych hipotez. Wszystko to domek z kart, który rozrzuca technicznie racjonalizmu zawarte w jednym felietonie.

Przywykliśmy już do hamiltonowych bezceremonialności. Sądziliśmy, że jest to bezceremonialność wysokiej próby, bo zaryzykowana jako przywara charakteru dla tym wyrazistszego wyeksponowania tezy, o którą warto kruszyć kopię. Dziś coraz częściej nabieram przeświadczenia, że jest to bezceremonialność tout court, coś jak gest fejniaka, który gwizdnął przez zęby, bo zauważył „metafizyczne rozpręczenie” w przewodzonej przez siebie grupie.

A co jest dowcipnego w proponowanych przez Hamiltona („Kultura” nr 9) przepisach kulinarnych? Jeśli jest to jakaś aluzja do „Kuchni polskiej”, to przepraszam bardzo, ale ja, czytelnik, zupełnie nie jestem obowiązyany wiedzieć, czy między obu panami coś zaszło, a jeśli nawet tak, to dalej nie chwytam, tak nietłumaczący się i niedowcipny wreszcie jest tekst. To samo można powiedzieć o rymowanych fraszkach. Gdyby je ktoś przysłał do redakcji, miałyby z nimi do czynienia głównie sprzątaaczka.

Na ogół ostrożny i nie czyniący zamachów ku epatowaniu Aleksander Małachowski tym razem wprawił mnie w osłupienie: „Najlepsze co mamy w naszym piosenkarstwie, to próby śpiewania dobrych tekstów poetyckich”. Nie wiedziałem, że na to da się nabrać ktoś z poważnych ludzi w Polsce. Mówi Waldorff, że „wrzeszczanka”? To

damy tekst Leśmiana, Tuwima, Gałczyńskiego. Już nie będzie taki chojrak. I biedny Leśmian sterczy jako piorunochron piosenki, która przez to, że opiera się na jego tekście, ani na jotę nie podnosi swych kwalifikacji artystycznych. A w ogóle gdzie Rzym, gdzie Krym. To jakby ktoś niecierkawy, mało atrakcyjny, nie dochodzący do głosu przy stole na proszonym obiedzie raptem wyciągnął egzemplarz „Rozprawy o metodzie” i przerwałszy wszystkim zaczął czytać. Przerwać? To przerwać Karłowiczowi. Nikt nie chce być tym profanem. A później pamiętnikarski współczesny powie przy kawie; ale się nam udało konwersacja.

Jeśli piosenka naprawdę nie jest zdolna do niczego poza jęczeniem, miauczeniem, kwiczeniem, rżeniem, to niech sobie jęczy i rżę, ale poza poezją. Przynajmniej tego można od niej oczekiwać. Dziwnie, że tak źle polskiej poezji życzy Aleksander Małachowski.

Ijon

P.S. Oponując przeciw stanowisku KTT, który wykazuje ujemne strony braku łaciny w programie szkolnym, dziennikarka „Sztandar Młodych”, Ewa Krajewska, zamieściła artykuł pt. „Salve Latina”, w którym dowodzi nieprzydatności tego języka w warunkach dzisiejszych. Przypuszczalnie chciała powiedzieć „Zegnaj łacino”, powiedziała jednak „Witaj łacino”. Poza tym co do tego, żeby nie używać nieznanego języka — ma rację. Jeśli go znanym uczynię nie chemy.

# bez tybubw

## POWIEŚĆ CZYTELNIKÓW

(3)  
Zygmunt mocno przytulił Elżbietę, starał się ją uspokoić. Delikatnie gładził jej włosy. W pewnym momencie zorientował się, że oddech jej stał się głębszy. Najwyraźniej zasnęła. Odczekał chwilę i sięgnął ręką po papierosa. Musiał zapalić.  
Nie wierzył własnemu szczęściu. Nareszcie sami. Nareszcie istnieją tylko dla siebie. Nawet ten dziwny pokój z zakratowanym oknem, pokój, w którym jedynym meblem było ich łóżko, wydawał mu się bliższy. Elżbieta... Kiedy policie o niej z o n a? Ten dzień musi przyjść kiedyś. Nie wyobrażał sobie, aby mogło być inaczej. Miłość od pierwszego wejrzenia? Chyba tak. Przypomniały mu się stare romanse. Wyciągał je potajemnie z biblioteki dziadka, chłonił z wypiekami na twarzy. Jakże chciał niekiedy znaleźć się na miejscu bohaterów tych powieści, przeżywać to, co było ich udziałem. Ten czas teraz nastąpił. Piękny czas.

Zgasł papierosa o podłogę, popielniczki nie znalazłby tu ze śmiechem. Sprawdził, czy tytuł przestał się żarzyć. I znów przytulił się mocno do Elżbiety. Spała spokojnie, oddychała miarowo. Przez moment zastanawiał się, czy ma prawo ją obudzić, ale gdy poczuł pod palcami krągłość jej piersi, stracił panowanie nad sobą.

W północy przygarbnała go ramieniem.  
— Rysiek... — wyszeptala.  
— Co, co? — zawołał głośno, tak głośno, że aż przestraszył się własnego głosu. — Coś ty powiedziała?

Gwałtownie zerwał się z łóżka. Czuł, że zimne krople potu wystąpiły mu na czoło.  
— Eika, co za Rysiek, powiedz! Boże, ja zwiariuję!  
— Zygmunst, przestasz się. Jesteś zmęczony...  
— Rysiek. Tak, Rysiek. Nie przestasz się. Ela, co ty przede mną ukrywasz? Kto to jest?

— Głupstasie, nie ma nikogo. Chyba, że mi się coś śniło, ale nie nie pamiętam. Chodź, przytul się do mnie. Kiedy jesteś blisko, nie jest tu tak strasznie.

— Może rzeczywiście coś jej się śniło? — pomyślał. Nicco uspokojony, znów przywarł do niej całym ciałem. Oboje nie wiedzieli, kiedy usnęli. A gdy rano, niemal równocześnie, otworzyli oczy i zobaczyli pokój oświetlony słońcem, nawet krzycząc w oknie miały swój urok.

Rozstali się na dworcu w Lublinie.  
— Zadzwoń do mnie jutro? — zapytał, żegnając się z nią przy taksówce.

— Pofutrz. Jutro mam sporo nauki.  
— A jeśli nie wytrzymam?  
— Oj, ty mój dzieciaku! — Ucałowała go w policzek. Wsiadł do trolejbusu, znalazł wolne miejsce przy oknie. Gdy pojazd ruszył, poczuł czyjąś dłoń na ramieniu.  
— Cześć stary! Skąd to wracają Litwini? — Jurek, kolega z ławy szkolnej, uśmiechał się dobrodusznie.  
— Z nocnej wracają wycieczki.  
— Domyślam się. Nawet wtem, z kim to się było na tej nocnej wycieczce. Widziałem, jak żegnałeś się czule przy taksówce. Zakochałeś się, czy co, u licha? A matka odrobiona?  
— Mam jeszcze czas.  
— Niezła ta twoja Elżbieta...  
— Skąd znasz jej imię? — Zygmunt ze zdziwieniem i niepokojem spojrział na kolegę.

— Stary, teraz poważnie. Oglądamy nasze gęby nie od dzisiaj... Faktycznie się zakochałeś? Jeśli tak, to klops...  
— Co masz na myśli?  
— Jurek milczał.  
— Powiedz wreszcie, człowieku...  
— Chciałbym ci tego oszczędzić. Szczerze jednak mówiąc, radziłbym ci, abyś zakończył tę znajomość.

— A jeśli nie...  
— Będzie po prostu żalować. A ode mnie niczego się nie dowiesz. Niczego. Jeśli zresztą tak solidnie zauróczysz jej w głowie, może to będzie najlepiej? Nie dia ciebie wprawdzie, ale dia innych... — Skrzywił się lekko i wysiadł na najbliższym przystanku.

\*\*\*

Jurek wszedł do mieszkania pogwizdując. Ojciec spojrzal na niego ze zdziwieniem.

— Tyle razy ci mówiłem, że nie potrafisz się zachować. Matka położyła się, boli ją głowa.  
— Jeśli boli, to nie od mojego gwizdania.  
— Jak ty się wyrażasz do ojca, szczeniaku?  
— Spokojnie, spokojnie. Nie bądź taki nerwowy!  
— Jurek, bo żuterzbi mnie ręka.  
— Wyrosłem już, tatusiu. A jak mi dasz stówę — ściszył głos — to ci coś powiem.

— Wiesz, twoja bezczelność przechodzi wszelkie granice!

— Tak? To ci powiem bez stowy. Powiem co coś ciekawego o twojej przyjaciółce. Kochana Elżbieta normalnie ciebie zdradza.

— Ryszardzie, Jureka, co się tutaj dzieje? — Matka Jurka stała w drzwiach, podtrzymując ręką mokrą chustkę na głowie.

(c.d.n.)

Z nadesłanych propozycji oparliśmy się na tekstach Andrzeja Koniecznego z Jawidza i Marii Wojskiej z Radomia. Honorarium wysłamy. Dalszy ciąg może pisać — przypominamy — każdy czytelnik. Na czwarty odcinek powieści czekamy do 26 marca. (Nasz adres: patrz stopka redakcyjna na str. 15).